Nr. 23 Warszawa, d. 1 Grudnia 1913 r. R. XV.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego": Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

Warszawska Spółka Myśliwska

ma zaszczyt zawiadomić JW. i WW. swoich odbiorców, że

Ministeryum Handlu i Przemysłu

odznaczyło

medalami złotemi i srebrnemi

następujące firmy reprezentowane przez Warszawską Spółkę Myśliwską za broń przedstawioną na **Wystawie Sportowej** w r. z. w Warszawie:

LEBEAU-COURALLY, Liége, **Wielki Złoty Medal** (jedyny w dziale broni)

W. W. GREENER, Birmingham, **Złoty Medal**

I. P. SAUER, Suhl, **Złoty Medal**

MAUSER, Oberndorf, **Złoty Medal**

HUSQVARNA VAFENFABRIKS, Szwecja, **Wielki Srebrny Medal**

Fr. W. HEYM, Suhl, **Wielki Srebrny Medal**

FABRIQUE NATIONAL, d'ARMES de GUERRE, Herstal, **Wielki Srebrny Medal**

AUGUST FRANCOTTE, Liége, **Srebrny Medal**

JEAN RIGA STASSART, Liége, **Srebrny Medal**

Broń wyżej wymienionych fabrykantów **Warszawska Spółka Myśliwska** ma zawsze na Składzie **w wielkim wyborze** w swoim Składzie Broni (Królewska 17 w Warszawie). Pozatem posiada znaczną ilość broni: **Holland a. Holland, J. Lang** (Anglia), **E. Pirlet** (Paryż), Anciens Etablissement **Pieper** (Liége).

NADTO

Warszawska Spółka Myśliwska

OTRZYMAŁA

MEDAL ZŁOTY

za dobór broni, umiejętność precyzyjnego wykonania najtrudniejszych części broni i niezwykłą dokładność odrobienia osad do broni.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W listopadzie wolno polować: na dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie jarząbki, kuropawy, drapie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne, a do 1 (14) listop. na klępy i łanie.

Lunacya w listopadzie.

Pierw. kw. d. 5 o g. 8 m. — wiecz.
Pełnia d. 13 o g. 12 m. — w nocy.

Wschód i zachód Słońca

w listopadzie.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	7	23	4	6
17	7	23	4	6
18	7	23	4	6
19	7	23	4	6
20	7	32	3	59
21	7	32	3	59
22	7	32	3	59
23	7	32	3	59
24	7	32	3	59
25	7	40	3	53
26	7	40	3	53
27	7	40	3	53
28	7	40	3	53
29	7	40	3	53
30	7	48	3	49

Potrzebny zaraz

do magnackich dóbr

Doświadczony łowczy,

kawaler, umiejący doskonale prowadzić duże polowania z naganką, rozstawiać myśliwych i t. p.

Zgłoszenia piśmienne, z opisami świadectw, lepiej — osobiste — przyjmuje Syndykat Leśny w Warszawie, Jerozolimska 25, telef. 273-44.

Wielki wybór rogów zagranicznych i syberyjskich:

Jelenie Sarnie Afrykańskich i Indyjskich Antylop i Bawołów.

Kolekcje za zaliczeniem pocztowem franco à Rb. 14. A) 1—8-ak jeleni i 1—8-ak meksyk. jeleń i Antylopa. B) 3 różne Antylopy. Kolekcja C za zaliczeniem kolejowem à Rb. 22. 1) Gazella wielka (78 cm.), Antylopa Canna (75 cm.), 1 Antylopa Kudu (60 cm.), 12-aki jelenie na dębowych tarczach 90—100 cm wysoki, korona o 23—27 cm. Rb. 18—28 6-aki jelenie na dębowych tarczach 60—75 cm. Rb. 9—12.

Cenniki gratis i franco.

Karol Erdmann Warszawa, Solec 41.

ZAWIADOMIENIE.

SKŁAD BRONI

p. f. **J. SOSNOWSKI**

wł. Czesław Lisowski

został przeniesiony do

Hotelu Europejskiego

od ul. Czystej tel. 47-47.

Jako odbitka z „Łowca Polskiego"

wyszło z druku dzieło

OBERLAENDERA p. t.

UKŁADANIE WYŻŁÓW.

Dzieło Oberlaendera, zawierające **szczegółowy i wyczerpujący opis układania wyżłów**, cieszy się niemal wszechświatową sławą, zwłaszcza na kontynencie. Między innemi, jako dowód popularności tej pracy może posłużyć fakt, że Francuzi, zazwyczaj niepozwalający sobe imponować Niemcom, w swoich pismach myśliwskich, piszą o tresurze psa, często jednak powołują się na Oberlaendera, jako powagę uznaną.

Jakiego powodzenia doznało to dzieło w samych Niemczech, dowodzi, że pierwsze jego wydanie ukazało się 1894 r., a w roku 1905 wypuszczono już w świat wydanie piąte, czyli że w ciągu 9 lat niespełna rozeszło się 23,000 egzemplarzy tej książki.

Wydając tłómaczenie tego dzieła, mniemamy, że spełniamy rzecz pożyteczną. Z V uzupełnionego i poprawionego przez autora wydania usunęliśmy tylko obszerne przedmowy, pisane w tonie polemicznym, oraz szczegóły dotyczące anatomicznej budowy wyżła, bowiem polski czytelnik znajdzie je gdzieindziej („Pies zdrowy i chory" d-ra O. Hilfsreicha).

Dzieło to stanowi **wielce pożyteczny podręcznik przy układaniu wyżła,** tembardziej że obecnie nie posiadamy w handlu księgarskim żadnej pracy w tym kierunku.

„UKŁADANIE WYŻŁÓW" stanowi duży tom o 460 stronicach ścisłego druku, z licznemi ilustracyami w tekście.

Cena 3 rub., z przesyłką pocztową **3** rb. **25** kop.

Jest do sprzedania

z terminem odstawy na listopad i grudzień **1500** sztuk bażantów żywych kur i kogutów gatunku

Torquatus Mongolicus.

Warunki u nadleśnego

Jana Małek

w Kitajgrodzie, poczta Daszów gub. Kijowska.

Do sprzedania

kilka wagonów żołędzi (quercus pedunculata). Wiadomość Polskie Biuro Leśne (ks. Zdzisław Lubomirski i S-ka) Warszawa, Żórawia № 40. Telefon 90-90.

Strzelec-bażantarnik

obeznany dobrze z hodowlą bażantów, kuropatw, tępieniem drapieżników i tresurą wyżłów, poszukuje posady od Nowego Roku. Adres: Poczta Kublicz, gub. Podolska w Kubliczu. S. Narożniak.

Żywe zające

Całą ilość żywych zajęcy z lasów Konstantynowskich sprzedaliśmy firmie:

Polskie Biuro Leśne (Ks. Z. Lubomirski i S-ka)

w Warszawie, Żórawia 40

gdzie prosimy zgłaszać się z zamówieniami

Zarząd Lasów Konstantynowskich
p. Janów Siedlecki.

Istnieje od 1854 r.

ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

Antoni Łastowski

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na **Krakowskiem-Przedmieściu** Nr. 22.

A. Łastowski

Szukam posady leśniczego lub podleśniczego. Znam języki: polski, małoros., czeski i niem., z wyższą nauką leśną. 7 lat praktyki w Czechach. 2 lata w Podol. gub. jako strzelec. Jestem katolik, żonaty, bezdzietny, lat mam 27. Wolny jestem od każdego czasu.

Jar. Hubálek, Zabokrzycz, Podol. gub,

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony Myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 351.

Nr. 23.	Warszawa, d. 1 Grudnia 1913 r.	Rok XV.
	Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	

WYDRA.

Polowanie w Rumunii.

Znany autor i myśliwy, p. A. de Lesse, opisuje w następujący sposób polowania w Rumunii, w dwutygodniku „La vie à la Campagne".

Gdyby nawet wypadki polityczne, ostatniej doby, nie wysunęły na pierwszy plan ogólnego zainteresowania się Rumunią, niemniej kraj ten zasługiwałby na przeprowadzenie ankiety łowieckiej. Oto co przed jakiemiś dwudziestu pięciu laty pisał w tej kwestyi W. W. Greener:

„Północna część Bałkanów obfituje w grubą i małą zwierzynę, która wszelako znika teraz szybko dzięki chłopom miejscowym, niszczącym ją we wszelkich sezonach.

W Karpatach, na lesistych skłonach, jak i w Bałkanach, spotyka się sarnę; na terytoryach zaś — kozicę; na pokrytych znów lasami zboczach i na równinach — dzika i mały gatunek niedźwiedzia burego. Wilki i lisy obfitują w Karpatach.

Jako centrum naszych wypraw myśliwskich możemy obrać Braiłę lub Bukareszt. Ptaki i wogóle drobna zwierzyna spotyka się tam w wielkich ilościach; trafia się też często na dropie, lecz te ptaki należy strzelać ze sztucera.

Myriady kszyków i ptactwa wodnego trzyma się na błotach i na zalewanych czasowo łąkach, pośrd których płynie Dunaj i jego dopływy. Przeloty przepiórek są zwykle bardzo bogate; spotyka się też dość często głuszce i jarząbki.

Wiosną i jesienią piękne przeloty słonek; przelot jesienny zaczyna się zwykle w ostatnich tygodniach października, a w niektórych latach bywa on wyjątkowy bogaty. Zajęcy i królików niema wcale, kuropatwy są rzadkie, gdyż je chłopi strzelają przez rok cały".

To streszczenie wydaje nam się w obecnych czasach zbyt optymistyczne, gdyż w kraju całym zwierzyna osiadła silnie wyniszczona, zwłaszcza w okolicach Dobrudży. O ile mogłem sam osądzić, najwydatniejszemi, najbardziej dla nas, podróżników, interesującemi są polowania na ptactwo przelotne.

Gdy okolice morza Kaspijskiego otrzymują kontyngens ptactwa azyatyckiego, Turcya, Grecya i Rumunia leżą na drodze przednich straży armii afrykańskiej. Na wiosnę na straż przednią rozsypuje się po włoskich płaszczyznach w sąsiedztwie Dunaju i innych rzek, na żyznych równinach „czarnoziemu", tak znakomicie podatnych na uprawę kukurydzy, pszenicy i prosa.

Gdy tylko zboża dojrzeją i sprzęt się rozpoczyna, to jest w połowie lipca, mniej więcej, przepiórki młode i stare zaczynają się tuczyć i rozsypują się o tyle równomiernie, o ile urodzaj pszenicy i prosa udał się na całej przestrzeni; w przeciwnym razie grupują się na tych urodzajnych przestrzeniach, które ocalały przed burzami, lub też koncentrują się w blizkości wód, jeśli temperatura jest zbyt wysoka.

Gdy główna masa ptactwa wyczerpie już dany okrąg, przepiórki porzucają go nagle, aby się przenieść w inne miejsce, pozostawiając za sobą osobniki bardziej ociężałe, które dojadają resztek, lub też może ptaki, które się wylęgły na miejscu i mają przez to pewne względy rodzinne.

Obszary ziemi uprawnej są poprzedzielane nieużytkami, gdzie wprawdzie przepiórki mogłyby znaleść zasłonę, lecz ubóstwo karmy dałoby się we znaki tak olbrzymim nieraz masom ptactwa.

Podczas swych wędrówek, w czasie żniw, całe armie przepiórek zbyt tłustych, aby módz leżeć długo bez wyczerpania drogocennych zapasów, zatrzymują się, aby odpocząć na tych odłogach, lecz tylko na jedną dobę. Jeśli myśliwy ma szczęście wpaść na taki kontyngens szukający wytchnienia, wówczas robi rzeź prawdziwą i wkrótce zbraknie mu ładunków. Lecz gdy wróci nazajutrz z dostatecznym zapasem ładunków i z nadzieją nowych tryumfów, nie znajdzie już ani jednego ptaka.

Polowanie na przepiórki rozpoczyna się w pierwszych dniach sierpnia. Obieramy sobie siedzibę o kilkadziesiąt kilometrów od Bukaresztu, w okolicy rolniczej, pokrytej zbożami. Jeśli lato jest bardzo gorące, ostrożność nakazuje następujący podział dnia: od 4-ej do 9-ej rano — polowanie; od 9-ej do do 4-ej po południu —odpoczynek, śniadanie, syesta; od 4-ej do 7-ej— polowanie.

Jakiej broni użyć do tego rodzaju polowania? Naogół radziłbym kaliber 20, raczej ciężki — 2 klg. 65, z kamerami do longów, prawa lufa pół-czok, lewa czok, ładunki starannie nabite prochem „Schultze" lub „E. C." [1]), gilzy najlepszego gatunku, przybitki tłuszczone, średnie, a wszystko tak skombinowane, aby strzał nie był zbyt gęsty, przy średniej wadze śrut Nr. 10 [2]).

[1]) U nas doskonały proch „Sokół" może je z korzyścią zastąpić. (Przyp. tłóm.).

[2]) Mniej więcej Nr. 9 hart. (Przyp. tłóm.).

NOC W LESIE.

OPOWIADANIE MYŚLIWCA.

(Przekład z rosyjskiego).

(Dokończenie).

Wysłuchawszy opowiadania, usiłowałem przekonać Mokiejewa: „Zastanów się pan — mówiłem — czyż nieboszczyk, bez względu na to, jaką śmiercią umarł, może wyrządzić szkodę człowiekowi żywemu, zwłaszcza panu, którego za życia nie znał wcale?"

— Naturalnie, że nie, Jerzy Damjanowiczu. Ale, co się tyczy dyabła, jakiego pan zdania: czy może on napsocić człowiekowi?

Spojrzałem badawczo na Mokiejewa i rzekłem: „Idź pan, panie Mokiejew, tylko pośpiesz się z powrotem, a ja — niech już tak będzie — pozostanę przy niedźwiedziu i doświadczę, czy dyabeł może zaszkodzić człowiekowi ochrzszczonemu.

Mokiejew poszedł, a ja, zabrawszy swoją i jego torbę, udałem się na miejsce, gdzie leżał niedźwiedź, i usadowiwszy się o ile możności najwygodniej, zacząłem oczekiwać powrotu Mokiejewa.

Wszelkie oczekiwanie jest nudnem. Dla skrócenia czasu chciałem początkowo nasycić swój wzrok pięknością krajobrazu; dla uskutecznienia tego należało powstać i iść tam, gdzie był zabity niedźwiedź. Nie chciało mi się tego uczynić, więc zamiar swój odłożyłem na przyszłość. Zacząłem tedy odświeżać w pamięci cały przebieg polowania, następnie opowiadanie Mokiejewa, a doszedłszy do wzmianki o myśliwych-„kucharzach", wspomniałem wiele innych wypadków, udowodniających, że chłop, byle tylko nie włóczyć się po sądach, gotów jest na wszelkie przestępstwa. Potem przyszła mi na myśl przyczyna, dla której Mokiejew nie chciał pilnować niedźwiedzia; myśląc o tem, rzuciłem okiem dokoła, ale wszędzie było spokojnie. Następnie zacząłem obliczać czas podróży Mokiejewa; spojrzałem na zegarek, okazało się, że powinien wrócić za godzinę. Znów zacząłem myśleć o rozmaitych rzeczach. Upłynęła godzina — Mokiejewa niema; upłynęła druga — niema. A noc dawno już zapadła i ponura ciemność ogarnęła bór. „Musiało się coś przytrafić Mokiejewowi — pomyślałem — jednak poczekam jeszcze". Znów godzina upłynęła — ani osła, ani posła. Spojrzałem na zegarek: jedenasta dochodzi. Należało tedy pomyśleć o noclegu.

Nocowanie w lesie nie było dla mnie czemś nadzwyczajnem: często zdarzało mi się nocować i w lesie, i w polu, ale w innych zupełnie okolicznościach. Miejsce dla noclegu zwykle było naprzód upatrzone, mogłem rozpalić ogień, jaki mi się podobało, a tutaj tego dokonać nie można było, gdyż otaczała mię sucha trawa, po której

Od biedy można wziąć kal. 16; co zaś do 12-go, to niewątpliwie możnaby z nim dokazać cudów, lecz w tego rodzaju polowaniach jest on za ciężki, a przez to zbyt męczący. Gdy przepiórki są tłuste, zrywają się blizko i lecą wolno, więc najbardziej nawet zapalony myśliwy prędko dojdzie do przekonania, że podobny wysiłek jest niepotrzebny.

Co się tyczy ubrania, to należy mieć lekki garnitur, lecz nie trzeba zapominać o płaszczu nieprzemakalnym i grubym paltocie, gdyż równiny te posiadają klimat krańcowy i straszne burze formują się z niezwykłą szybkością, a po nich zwykle temeperatura się obniża. Dobrze jest mieć przy sobie jaki wózek, na którym moglibyśmy umieszczać zapas ładunków, cieplejsze okrycia i psa zapasowego, gdyż potrzebne są dwa psy. Jeden pies może wystarczyć na każdego myśliwego, lecz taki pies musi być bardzo rozważny, o chodach krótkich, wycierający starannie teren, nie pozostawiając ani kawałka bez obszukania. Gdyż podczas wielkich przelotów lepiej jest wyszukiwać świeżo zapadłe i twardo dotrzymujące przepiórki lub odnajdywać ptaki zabite lub ranione, aniżeli kazać psu „pracować" w wielkim stylu.

Oczywista, że jeśli myśliwy woli robotę psa według wszelkch zasad sztuki, to powinien wyszukiwać takie miejsca, gdzie nalot jest rzadszy, jakby powiedzieć — sam ogon nalotu, i to wybierać do tego chłodny ranek, pochmurny, przy lekkim wietrze. Wówczas może trafić na przepiórki, które mu będą wylatywały na przyzwoitą odległość z wszelkiemi szykanami, właściwemi kszykowi. W tym wypadku wysoce sportowym lekki kal. 12 odda mu rzeczywiste usługi.

Pies, czy to będzie zwykły legawiec, czy pointer, musi być w każdym razie krótkowłosy. W Rumunii psów myśliwskich niema wcale; potrzeba przywozić z sobą, co jest bardzo ambarasowne; w przeciwnym razie trzeba się kontentować psami nieułożonymi, bez rasy i tresury, które pracują według swego widzi misię.

Teren wymaga specyalnego opisu. Jeszcze teraz w wielu bardzo majątkach zemskich pszenicę żną chłopi przy pomocy sierpów, pozostawiając bujne ścierniska, które stanowią zasłony, o jakich my nie mamy pojęcia we Francyi. Dodajmy do tego, że z wyjątkiem bezpośrednich okolic większych miast, posiew pszenicy nie jest gęsty, co pozwala rozrastać się obcej roślinności, jak krzak jerzyny, wysokie trawy, drzewiaste jasieńce, wszystko to stanowi doskonałe kryjówki, bardzo przez przepiórki i derkacze cenione.

Te różne przeszkody czynią lot ptaków bardziej nierówny i powodują, że myśliwy zmuszony jest dawać dowody szybkiej decyzyi. Chodzenie po tych pierwotnych polach jest nieraz bardzo uciążliwe i trzeba utrzymywać równowagę przy strzelaniu do przepiórek, zrywających się na wszystkie strony.

W kukurydzy trzyma się mało przepiórek, a zresztą są tam one bardzo trudne do strzelania. Zabawnem jest przenieść się ku zachodowi słońca na olbrzymie przestrzenie poręb, szeleszczące zlekka przy wieczornym wietrzyku, aby tam z nagańką strzelać te ptaki, które pozostawały w cieniu przez gorące godziny dnia, a które teraz wynoszą się na żerowisko w sąsiednich polach.

Przepiórki chętnie zasiadają w prosie, stanowiącem dla nich prawdziwe lasy, zkąd jednak psy z trudnością mogą je wyparować, chyba, że ich jest bardzo dużo. Z chwilą, gdy proso dojrzewa zupełnie, ptaki stają się tak tłustymi, że ledwie mogą się podrywać; strzały bardzo je rozbijają, a niekiedy skóra na ptaku pęka, gdy ten spada na ziemię.

Na ogół polowanie na przepiórki, w ciągu sezonu, przedstawia się pod trzema różnemi postaciami: *polowanie słabe;* zbytnie gorąco wstrzymuje łączenie się przepiórek; ilość karmy niedostateczna; przepiórki są rzadko rozproszone, chude, mają lot bystry, zrywają się na 20 do 30 metrów i robią wrażenie ptaków niespokojnych; rozkład dzienny na osobę 20 sztuk; *polowanie średnie:* przepiórki rozproszone równomiernie, miejscami gęściej; ptaki w dobrem mięsie, lecące szybko i zrywające się łatwo; rozkład dzienny na osobę — 50 przepiórek; *polowanie maksymalne:* warunki specyalne w danem miejscu; olbrzymie stada ptaków spuszczają się ze zboczy mołdawskich ku Dunajowi w początkach września; ptaki bardzo tłuste latają ciężko, zrywają się z pod nóg; możliwy rozkład — kilka setek przepiórek na dzień i na myśliwego.

Ongi mogliśmy rywalizować w ilościach zabitych przepiórek z krajami Bałkańskimi, gdyż w rocznikach naszego łowiectwa cytuje się np. dzień polowania w środkowej Francyi, kiedy to w cztery strzelby zabito 1,200 przepiórek; lecz obecnie wszyscy myśliwi francuscy widzą stopniowy ubytek tych ptaków w naszym kraju, tak jednak sprzyjającym ich nalotom. I nic dziwnego: w 1902 roku dostarczono do paryskich hal miejskich 248,000 przepiórek, a w 1912 — ledwie 34,000!

Od połowy października słonki, wygnane pierwszemi zmianami, spuszczają się z gór Uralskich oraz z łańcucha Karpat. W początkach przelotu rozlatują się one

---

ogień mógł się łatwo rozszerzyć i mnie samego spalić; oprócz tego, nigdy nie nocowałem literalnie sam; zawsze miałem psa, którego teraz przy mnie nie było. Wspomniawszy o swym wiernym towarzyszu, poczułem się do takiego stopnia osamotnionym, że mi się aż na płacz zebrało. Może to wyda się komukolwiek dziwnem, a nawet śmiesznem, ale ktoby poznał, jak dalece jestem samotny, zmieniłby swoje zdanie. Dawno już nie mam ani żony, ani dzieci, blizcy krewni i drodzy przyjaciele, jeden za drugim powędrowali do praojców, krótko mówiąc, jestem na świecie sam jeden, jak kołek. Ale mam psa, który mię lubi i przywiązany jest tak, jak tylko może być przywiązany pies do człowieka; za to też odpłacam mu wzajemnością. Ktoby mię pozbawił psa, odebrałby mi ostatnią pociechę: niktby mię już nie lubił, i ja nikogo...

Tak więc, wspomniawszy o psie, rozczuliłem się, ale nie na długo. Niespodziewana błyskawica, rozdarłszy północno-zachodni kraniec nieba, skierowała moje myśli ku urządzeniu schroniska na wypadek deszczu. Niedaleko od miejsca, gdzie leżał niedźwiedź, rosła młoda jedlina. Nagiąłem tedy cztery sąsiednie jodełki, związałem wierzchołki rzemieniem, naciąłem młodych gałązek i umieściłem je na tym improwizowanym dachu, w ten sposób urządziłem dość obszerny szałas, który mógł mię uchronić od niewielkiego deszczu. Ulokowawszy się w nim wraz z torbami i natarłszy siarczaną zapałą cel strzelby, aby był widoczny w ciemności, gdyby strzelać wypadło, poleciłem się woli Bożej i przygotowałem się do noclegu. Jeść mi się nie chciało, tytoniu miałem poddostatkiem; nocne powietrze było tak ciepłe, że wzięty przezemnie na wypadek deszczu lekki paltot kortowy, w którym pociłem się cały dzień, był i teraz zbyteczny. A więc na początku okoliczności sprzyjały. W istocie czułem jakiś lęk, ale usiłowałem nie poddawać się temu. Mokiejewa już nawet nie oczekiwałem, gdyż w borze panowała taka ciemność, że na odległość pięciu kroków nic dojrzeć nie było można.

Blizko godzinę przesiedziałem w swoim szałasie, paląc fajkę i zachwycając się błyskawicami, które bez przestanku prawie oświetlały las. Lecz wkrótce blask błyskawic stał się nie do zniesienia, a huk piorunów doszedł do takiej potęgi, że zmuszony byłem zatkać uszy pakułami, wyjętemi z nabojów, aby nie ogłuchnąć. Środek ten, jednak, okazał się mało skutecznym, pomimo, że zakrywałem uszy jeszcze rękami; przy każdem uderzeniu piorunu mimowoli tuliłem głowę do ramion.

Co raz to częściej błyskało się; uderzenia piorunu potężniały; chmura, idąc z południowego zachodu, lunęła taką ulewą, że dach mojego szałasu okazał się nie więcej użytecznym od przetaku; w ciągu jakiego kwadransa nie pozostało na mnie suchej nitki; a buty moje o krótkich cholewach wypełniła woda tak, jakgdybym w nich rzekę w bród przeszedł. Narzuciwszy na ramiona paltot, przykucnąłem pod jodłą, bacząc tylko, aby kurków deszcz nie zamoczył. „Co ze mną będzie? Strach!" Niema

w niewielkich laskach, rozrzuconych tu i owdzie, wśród pól uprawnych, lub w kilku większych lasach, liczących po kilka tysięcy hektarów.

Lasy te są względnie dobrze urządzone do polowania z nagankami. Naganiaczy jest zwykle dużo, lecz przy chodzeniu trudno jest utrzymać ich w porządku. Uzbraja się ich w klekotki, lecz nie należy, aby robili zbyt wiele hałasu, gdyż inaczej wypłoszą ptaki z sąsiednich miotów, zwłaszcza jeżeli słonki mają się ku odlotowi.

Każda kraina ma swoje słonki, które wracają co sezon do tych samych miejscowości; Rumunia podlega temu samemu prawu i dlatego spotykamy i tu „dobre stanowiska na słonki" w każdym miocie. Z tego należy wyciągnąć, że dobrze jest poinformować się, gdzie się znajdują najlepsze stanowiska, a nie stawać na los szczęścia. Jeśli umiemy kilka słów po rumuńsku, to nas chłopi objaśnią najlepiej; mają oni w sobie dużo charakteru kłusownicego i w kwestyach polowań na ptaki przelotne są bardziej kuci na cztery nogi, aniżeli nasi wieśniacy francuscy.

Na ten rodzaj polowań wskazanym jest kal. 12, prawa lufa — poprawiony cylinder, lewa — pół-czok, ładunki starannie nabite 7 lub 8 Nr. francuskim. Jeżeli mamy dobrego psa na słonki, np. braka burbońskiego, lub dobrego legawca niemieckiego, zasmakować należy w jednym z najwspanialszych sportów, gdyż te równinowe lasy rumuńskie nadają się znakomicie do polowań z psem legawym; do naganek zaś dobrze jest mieć retrievera, na czem zyska ogromnie nasz pokot.

Z chwilą gdy surowsze zimna sprowadzają masowy nalot, słonki zapadają wszędzie, nawet po ogrodach miejskich; są one wtedy zmęczone i zgłodniałe, to też zwykle dotrzymują twardo. Gdy jednak czas jest względnie łagodny, pozwalający im zasiąść się należycie, każda wybiera sobie swe żerowisko i wtedy naganki są mniej wydajne.

Na nieszczęście Rumuni praktykują podobnie jak i my, niszczenie słonek podczas ich wiosennych przelotów, a mianowicie „na ciągach" i ten błąd kapitalny opłacą drogo wszyscy myśliwi europejscy przez zmniejszenie się liczby ptaków na przelotach jesiennych.

Ogółem biorąc, przeloty na lesistych równinach Rumunii nie różnią się zbytnio od przelotów we Francyi, chyba, że w niektórych razach są one obfitsze od naszych. Inaczej rzeczy się dzieją w *Bałcie* Dunaju. Ten obszar błotnisty, ciągnący się wzdłuż rumuńskiego brzegu rzeki, posiada jeden tylko gatunek drzew, a mianowicie wierzby, lecz wierzby olbrzymie, kilkusetletnie, mierzące do 25 metrów wysokości i 3 do 4 metrów obwodu. Rosną one na przestrzeni tysięcy i tysięcy kilometrów kwadratowych, przez nikogo nie eksploatowanych, a ulegając od czasu do czasu wylewom Dunaju, zamierają zwolna i padają, pozostawiając na ziemi mulastej swój pień zgniły, który tworzy rodzaj próchna, bardzo przez słonki poszukiwanego [3]).

(Dokończ. nast.).

Z badań nad słonkami.

Myśliwy niemiecki, Maks Sieberlist opisując swe badania nad ciągiem słonek, zaznacza w „D. Jaeger-Zeitung" (Nr. 3 Bd. 61), że od r. 1899 do 1908 ubił, według notatnika, 311 słonek, z czego 183 na wiosnę, a mianowicie 171 na ciągu i 12 na polowaniu z psem. Następnie zajął się zbadaniem tych ostatnich 12 sztuk i stwierdził, że 9 było samiczek. To go tak zniechęciło do dalszego strzelania słonek na wiosnę, że zaniechał tego zupełnie, aczkolwiek miał wielokrotnie sposobność do strzelania słonek na polowaniu z psem.

Natomiast ze 171 sztuk ubitych na ciągu, nie było nawet tuzina samiczek. Zaznacza też, że podczas polowania na ciągu na wiosnę można prawie zupełnie uniknąć strzelania samiczek. Ostatniego roku p. S. zabił 29 sztuk, śród których nie było ani jednej samiczki. Doświadczenie bowiem go nauczyło, że słonki ciągnące bez wydawania zwykłego głosu, zwanego chrapaniem, to samiczki, oraz, że gdy dwie sztuki wzajemnie się prześladują, ciągnąc razem, to zawsze przodująca jest samiczką. Dwie te wskazówki nader cenne służyły za przewodnik w unikaniu samiczek.

Opowiada on, że niezliczone razy był świadkiem tokowania i wabienia się słonek, przyczem wydają one wtedy jakieś głosy swoiste, których niepodobna opisać. Kilka razy zauważył, jak drugi samczyk ujrzawszy na ziemi tokującą parkę, zapadł tam również, chrapiąc, poczem zwykle pierwszy samczyk rzucił się z furyą na rywala i nastała walka miłosna. A gdy rywal ustąpił, pozostały

[3]) Niewątpliwie dzięki owadom, które się w tem próchnie znajdują (Przyp. tłóm.).

---

się gdzie podziać przed deszczem!.. A deszcz leje, pioruny biją w najlepsze i błyska się bez ustanku... i... dwie godziny, jak obszył, presiedziałem pod ulewą prawie nieruchomo!

Ale oto zaczęło się przecierać, pioruny biją rzadziej, błyskawice przestają i straszna ulewa zamieniła się w zwykły, gęsty deszcz letni. Powstał wiatr, deszcz się zmniejszył i w lesie zrobiło się widno. Wyszedłem z szałasu i dalejże tańczyć i skakać, aby się cokolwiek rozgrzać, bom dygotał jak w febrze.

Umyśliłem rozpalić ogień; nazbierałem chróstu, podłożyłem pod niego pakuły z prochem, dostałem zapałki — wilgotne, nie chcą się zapalić. Próbowałem wystrzelić, aby choć z tlejącego flejtucha dobyć ognia. Gdzie tam! strzelba spala na panewce; tylko kilkanaście pistonów bez pożytku straciłem. A do jasnego ranka jeszcze ze dwie godziny pozostało. „Przetrwam jako tako te dwie godziny — pomyślałem — a potem zdejmę skórę z niedźwiedzia i kopnę się do domu".

Jednak zamiar mój nie został wykonany. Jak tylko zaczęło się rozwidniać na dobre, wziąłem się za niedźwiedzia, aż tu słyszę daleko w lesie — wystrzał i wołanie. Chwyciłem za strzelbę i nuż psztykać pistonami... padł strzał nareszcie.

Znów rozległ się wystrzał w oddali, ale już bliżej, a po chwili zupełnie wyraźnie doszło do moich uszu: „hop, hop!" Nasi jadą! Odhuknąłem i ja, a za dziesięć minut po drodze z huty ukazał się koń, zaprzężony do wózka, na którym siedział stangret zarządzającego hutą z dwoma robotnikami.

— A gdzie Mokiejew? — zapytałem.

— Hulał! — usłyszałem odpowiedź.

Cóż więc uczynił Mokiejew? On szczęśliwie dotarł prawie do samej huty, ale do wsi nie poszedł, a skręciwszy w bok,udał się inną drogą do sąsiedniej wsi, w odległości pięciu wiorst od huty, w której był szynk. Przyszedłszy tam, przedewszystkiem udał się do karczmy pokrzepić się nieco, a następnie najął jednego chłopa z koniem, a drugiego wziął do towarzystwa. Obydwóch i siebie samego Mokiejew uczciwie potraktował i zabrawszy jeszcze porządną butelkę na kredyt, wyruszył do mnie. Dla ominięcia huty kompania podążyła z tej wsi inną znów drogą. „Złe" spłatało im figla, zaprowadziwszy do jakiejś dziury; chłop, wzięty do towarzystwa, trzeźwiejszy od pasażera i woźnicy, ujął lejce i zawrócił konia do huty. Przybyli oni tutaj o godz. 11-ej w nocy, a choć ich rozpytywano na rozmaite sposoby, żaden z nich nie umiał wskazać miejsca mojego pobytu. Mokiejew i woźnica byli pijani, jak bela, a chłop trzeźwiejszy nie wiedział, przy jakim strumyku ja się znajdowałem. Dopiero nazajutrz Mokiejew wytłómaczył i zarządzający posłał po mnie konia.

Złożyliśmy niedźwiedzia na wozie, włożyłem suchą

zabrał się spokojnie do dalszego tokowania. Dwa razy zauważył w tych warunkach, że podczas walki samiczka się zerwała i ulotniła. Setki razy widział pojedyńczo ciągnące sztuki, które chrapały. Były to zawsze samczyki.

Na wiosnę samiczka ciągnie milcząco, nader szybko, tuż nad lasem, albo w polu nizko nad ziemią. Z pośród takich, cicho ciągnących słonek, zabił na wiosnę 3 sztuki, a wszystkie były samiczkami. To go też przekonało, że należy przestać strzelać słonki w takich warunkach, bo ofiarą padają matki. A przytem bardzo jest trudno trafić samiczki, bo lot ich jest o wiele szybszy, niż lot samczyków.

Słonki wysiadujące zjawiają się w głębi Rosyi bardzo wcześnie, nieraz kiedy jeszcze w lasach leży śnieg na metr wysoki. Obierają one miejsce lęgowe ze strony południowej lasu, na skraju, gdzie słońce już operuje i miejscami są już obszary na przestrzeni 2 kilometrów, gdzie śnieg już taje, a nawet spłynął całkowicie. Wieczorami ciągną samczyki, nie tokując jeszcze, gdyż wtedy po zachodzie słońca nieraz mróz dochodzi do 15 stopni Celsyusza, a rano do godziny 10-ej, zanim słońce przygrzeje, całun śniegowy jest tak twardy, że nie załamuje się pod stopami dorosłych ludzi. I wśród takich śniegów spotyka się po kilka par słonek. Czekają one nieraz 8 dni, zanim rozpoczną tokowanie.

Trwa ono nieraz do połowy lipca, samczyk bowiem nie troszczy się wcale o wysiadujące samiczki i nie żyje monogamicznie. Mylne też jest przypuszczenie niektórych myśliwych, że w końcu maja odbywa się powtórne tokowanie. Jest to raczej tylko ciąg dalszy, gdyż w tej porze wiele samiczek siedzi w rewirze na jajach.

Koguty bażancie i cietrzewie także tokują w dalszym ciągu, kiedy kury i cieciórki siedzą już na jajach. I tutaj bowiem nie żyją monogamicznie i nie tworzą parek. Natomiast kuropatwy przestają tokować, gdy samiczki siedzą na jajach, oczywiście dlatego, że kogut jest zajęty koło wylęgu, ma troski rodzinne. Słonka wszakże jest pod tym względem niepodobna do kuropatwy.

W Austryi na wiosnę tępią nadmiernie słonki; w niektórych rewirach pada na wiosnę ze 400 sztuk tego ptactwa. A śród tego jest znaczna ilość samiczek. Gdyby w ten sposób tępiono słonki także w państwie rosyjskiem, to rychło zabrakłoby zupełnie słonek na ciągu. Tutaj jednak mało kto poluje na słonki na wiosnę, a w każdym razie niema tak masowej rzezi, jak w Austryi. W Rosyi zresztą odpowiedni paragraf ustawy łowieckiej opiewa: „Nie wolno na wiosnę polować na zwierzynę użyteczną ani z naganką, ani z psem". Myśliwi więc nie mogą się posiłkować psem podczas ciągu słonek.

Lecz i tam, gdzie prawo nie zabrania polować z psem na wiosnę, prawidłowy myśliwy nie powinien nigdy w ten sposób polować na wiosnę na słonki. A strzelając do słonek na ciągu, należy wybierać tylko te, które chrapią przed wieczorem, ażeby nie strzelać do samiczek.

Jerz.

O wędrówkach ptaków.

(Dokończenie).

Właściwie prawie nikt nie wie napewno, w których krajach zimują ptaki wędrowne, tak miłe i niezawodne zwiastuny naszej wiosny, które w sierpniu szykują się już do odlotu. O bocianach wiemy wogóle, że przybywają do nas prosto z ciepłych krajów; o pomniejszych zaś gościach wiosennych i letnich, nie tak popularnych sądzą ludzie zazwyczaj, że opuszczają nas przed jesienią, bo wrcają do ciepłych krain, leżących hen — za siódmą górą i siódmem morzem.

Mówi się, że ptaki wędrowne ciągną „na południe", ale nie myśli się przytem o wybrzeżu włoskiem lub Francyi, jeno o ciepłych krajach.

Atoli w istocie rzecz się ma zupełnie inaczej. Znaczna część skrzydlatych naszych „letników", rozstając się jesienią z naszymi łanami i borami, nie przekracza nawet morza Śródziemnego, lecz pozostaje od naszej jego strony, w krajach nadbrzeżnych południowej Europy; tam mają stałe swe leże zimowe.

Szczególniej w południowych dzielnicach Francyi, Hiszpanii i Włoch przebywa zimową porą wiele wędrownych ptaków północnych.

Jako zakątki najczęściej i najtłumniej odwiedzane przez ptaki wędrowne z północy, uważać wypada nizinne obszary ziemi, leżące pomiędzy ujściami do morza rzeki, t. zw. „delty" jeziora nadbrzeżne i bagniska zachodnich krajów morza Śródziemnego, oraz góry ciągnące się wzdłuż wybrzeża tego morza, nareszcie stepy i lasy dziewicze wewnętrznej Afryki.

Jedną z pierwszych takich gospód zimowych naszych ptaków, dążących ku brzegom morza Śródziemnego, jest Kamark (Camarque, we Francyi); wyspa pomiędzy dwiema największemi odnogami rzeki Rodanu, bogata w zwierzynę i bujną roślinność, dzika i niemal bezludna.

---

bieliznę, którą mi zarządzający przysłał, i wyruszyliśmy do huty.

Po przybyciu do domu pierwszą myślą moją było zapytać o Mokiejewa.

— Siedzi w kantorze i pisze — odpowiedziano mi.

Poszedłem wprost do niego.

Na moje zjawienie się Mokiejew żadnej nie zwrócił uwagi i w dalszym ciągu zapisywał coś do księgi.

— Dzień dobry, panie Mokiejew, — zacząłem, zbliżając się doń — dziękuję panu, żeś tak rychło postarał się o furmankę... dobry z pana towarzysz... niema co mówić!...

— Niepotrzebne to wszystko, Jerzy Damianowiczu — spokojnie odparł. — Możesz pan ubliżyć mi w sposób dowolny i bądź pan przekonany, że do niego pretensyi mieć nie będę.

— Przyznasz zapewne — rzekłem rozgorączkowany, — że pański postępek nie można nazwać uczciwym-

— Dlatego też proponuję panu postąpić ze mną, jak mu się podoba. Prosić o przebaczenie nie będę, gdyż mój postępek godny jest nagany tak dalece, że wszelkie przeprosiny z mej strony skutku odnieść nie mogą.

— No, dobrze, panie Mokiejew. Nie będziemy o tem więcej mówili. Ale powiedz pan, jak człowiek uczciwy, dlaczego nie chciałeś pilnować niedźwiedzia? Nie przypuszczam przecie, że się pan istotnie dyabła boisz.

— Jak człowiek uczciwy, utrzymuję, że w lesie pijany nawet we dnie nie powinien pozostać sam na sam, a cóż dopiero w nocy! Dlaczego właściwie — opowiem innym razem. Dlaczego zaś nie poszedłem wprost do huty, to mnie, pijanemu, przyszło to do głowy, że będzie efektowniej, gdy niedźwiedzia przywieziemy cudzym koniem. Ot, licho nadało!..

Części swej z zabitego niedźwiedzia Mokiejew zrzekł się stanowczo. „Gdybyśmy — mówił — przed polowaniem umówili się co do podziału zdobyczy, to bądź pan pewny, że choćbyś zastrzelił dwa jarząbki, a ja ani jednego ,to wtedy zażądałbym swej części bezwarunkowo. Skoro zaś takiej umowy między nami nie było, a nawet strzelać pan mię nie prosiłeś, to — zgodnie z prawem, winien mi pan zwrócić zużyty nabój, a zgodnie z honorem — oderznąć jedną z przednich łap wraz ze skórą, co też sam dokonam i łapę tę dołączę do dawnych swych zdobyczy. Mięsa tego niedźwiedzia jeść panu nie radzę, ponieważ niewątpliwie skosztował on człowieczego mięsa.

Na tem się skończyło całe to zdarzenie z Mokiejewym.

Więcej już mi się nie zdarzyło być z nim na polowaniu; w jakiś czas po tem opuściłem hutę; ale spotkałem go jeszcze w mieście po trzech latach od ostatniego widzenia się z nim.

Spotkałem go wypadkowo na ulicy i nie poznałem, ale on poznał mię odrazu i zbliżył się. Ubrany był w dłu-

Wnizinach tej „delty“, obfitującej w moczary i jeziora, na ziemi, opasanej z dwóch stron obiema odnogami Rodanu, a z trzeciej strony morzem, wiele ptaków znajduje poddostatkiem wszystkiego, czego im potrzeba: łagodny klimat i obfite pożywienie w wilgotnych błotach, płytkich kałużach pobrzeżnych i licznych łożyskach rzek. To też niektóre ptaki, o których myślimy, że przebywają daleko za morzami, pozostają na zimę na obszarach tej właśnie wyspy (Kamark). I stąd dopiero podejmują wyprawy myśliwskie i łupieżcze do pobliżkich kniei. Oprócz ugorówki (skowronka polnego), droździka, kosa i drozda śpiewaka, pliszki i dżdżownika (kuliga, siewki), zimują tutaj głównie gęsi, cyranki, mewy czyli rybitwy i inne ptaki wodne, które gwarnem i malowniczem życiem napełniają pustkowie tego stepu śródziemnego, niezamieszkanego, lecz służącego za pastwisko koniom nawpół zdziczałym i stadom wołów.

Również wolne od śniegu stoki nadbrzeżnych gór południowo-europejskich dostarczają północnym naszym ptakom gościnnych schronisk zimowych. Tam więc przebywają zimą tysiące ludarek, strzyżyków, dzikich gołębi, zięb, makolągw, drozdów, kosów, trznadli, pliszek i zimorodków, oraz nieliczne orły, sokoły i sowy. Prócz tego w nadbrzeżnych, nad morzem Śródziemnem rozciągających się górach południowych chronią się przed surową naszą zimą szpaki, przepiórki, bekasy, czajki polne i leśne.

Podobnież i góry Włoch południowych, skrzydlatym naszym wędrowcom udzielają schronisk słonecznych, gdzie po Bożem Narodzeniu pogoda jest taka piękna, jak u nas w końcu września.

Tak samo w górach Dalmacyi, na półwyspie Bałkańskim, zimową porą goszczą niezliczone tłumy przybyszów z północy.

Lecz nigdzie nie roi się tak obficie od północnych gości zimowych ze świata ptasiego, jak w kraju Faraonów — w Egipcie. Tu bowiem wędrowcy nasi znajdują zakątek tak szczęśliwy i korzystny, jakiego niema drugiego na ziemi. Wiadomo nam przecież, że Egipt należy do krajów najurodzajniejszych i ma najbujniejsze płody i kwiecie. „Święta“ rzeka Nil tworzy tam przy ujściu do morza olbrzymią, jedną z największych na kuli ziemskiej „deltę“, we wszystkich kierunkach poprzerzynaną kanałami i łożyskami wodnemi. Nieopodal ciągną się rozległe, ale bardzo płytkie, zapiaszczające się powoli jeziora pobrzeżne wzdłuż morza, oddzielone od niego wązkimi paskami ziemi, od strony zaś stałego lądu otaczają je kępy, obfitujące w trzcinę i sitowie, naprzemian z bagnistemi polami ryżowemi. Te oto miałkie, sitowiem obrębione stawy, stanowią ulubiony przytułek zimujących tu ptaków wędrownych. Odwiedzającym tę krainę zimową porą, zdaje się, jakgdyby wszystkie ptaki świata wyznaczyły sobie tu schadzkę — tak wielka liczba gatunków i osobników ptasich zgodnie i wesoło przeżywa tu społem.

Kiedy jaskółki nasze szykują się do odlotu, wówczas gościnne te kryjówki bajecznego kraju Faraonów zaczynają się zaludniać. Pierwsi przybysze — to przepiórki. Jakkolwiek we Włoszech i na wyspie Malcie dziesiątkują je masowem mordowaniem, jednakże przybywają do Egiptu tak tłumnie, iż zaćmiewają przestworze! Po nich przylatują kaczki, dzikie gęsi i inne ptaki błotne; nie brak też orłów królewskich, bielików, sokołów wędrownych i innych ptaków drapieżnych, pewnych obfitej zwierzyny. Miałkie wody nadbrzeżne roją się wysokonogiemi czaplami, kuligami, ptastwem błotnem i wodnem wszelkiego rodzaju. Wśród tych rzesz uwijają się gromady pelikanów, łowiąc ryby w jeziorze, którego powierzchnię zasłaniają nieraz całemi milami!

Bogate to i malownicze, rozmaitością swą czarujące życie dolno-egipskich kolonij ptasich, trwa przez całą zimę, aż wznoszące się słońce wiosenne uprowadza jedne na Północ, drugie przyprowadza z Południa.

Im więcej słońce dopieka swym żarem, im więcej wysusza bagniska i moczary, naturalne leże ptasiego rodu, tem bardziej przerzedzają się rzesze zamieszkałych tamże gości skrzydlatych, tem większą pustką świecą pobrzeża morskie i rozległe płaszczyzny, przez największą w świecie rzekę utworzonej delty. Połowa marca, początki kwietnia — wre jak w ulu. Po nocach rozlegają się świsty odlatujących ku północy kaczek, z dalekiego południa nadciągają nieprzebrane rzesze przepiórek, jaskółek, kukułek, wilg, by natychmiast odlecieć do swych legowisk letnich, ku północy, na wszystkie strony zwiastując powrót tak utęsknionej i pożądanej wiosny.

Polowanie na ptactwo wodne we Włoszech.

Gazeta włoska „Tribuna — Sport“ opowiada o istotnym pogromie kur wodnych, jaki tam się odbył. W przeciągu dwóch dni ze 100 czółem miano zabić mniej więcej 15,000 sztuk ptactwa wodnego. Jeden z uczestników tej rzezi opowiada, że jednego dnia zabito 8,000 sztuk, przeważnie (90 proc.) kurek wodnych, resztę stanowiły kaczki. Sądzimy, że niektóre szczegóły tego polowania nie są pozbawione interesu dla naszych czytelników.

Pierwsze, większe partye przylatują do Włoch w końcu października; główny zaś ciąg odbywa się w połowie listopada. Nasamprzód odwiedzają jeziora w Górnych Włoszech. Są dnie, gdzie nawet mniejsze jeziora, jak np. Lago di Varese, roją się wprost od tego ptactwa wodnego. Kto tylko ma jakąkolwiek rusznicę, biegnie na polowanie. Jeden ze świadków naocznych tego polowania zapewniał, że raz podczas jego pobytu we Włoszech udało mu się zabić na wspomnianym jeziorze 100 sztuk ptactwa wodnego w przeciągu jednego dnia. Najlepsze wszakże strzelby nie są w stanie wyrządzić zbytniej krzywdy temu ptactwu, ponieważ niesłychanie trudno zbliżyć się doń na właściwą odległość. Głównem narzędziem morderczym jest tak zw. „spingarda“, czyli armata na kaczki. Istnieją najrozmaitsze systemy tej broni, zacząwszy od ciężkich, nabijanych z przodu, a kończąc na najdoskonalszych odtylcówkach ze stalowemi gilzami do nabojów. Kaliber też jest jaknajrozmaitszy. Najbardziej używany jest kaliber 6-cio centymetrowy, mierzony u wylotu; długość lufy wynosi mniej więcej 3 metry; waga naboju 500 — 600 gramów czarnego prochu, 4 funty ołowiu, szrutu używa się N. N. 0 — 00. Armata ta w środkowym punkcie swej ciężkości przytwierdzona jest do specyalnie zbudowanej w tym celu, płaskiej łodzi. W łodzi najczęściej zasiada dwóch ludzi, jeden, który wiosłuje, by zbliżyć się do ptactwa, za-

---

gie, podszarzałe, z grubego sukna palto, nieokreślonego koloru; na głowie miał aksamitną, zniszczoną czapkę, na nogach — dziurawe, wykrzywione buty z długiemi cholewami. W obliczu zaś żadnej zmiany nie dostrzegłem.

— A, Jerzy Damianowiczu! No, cóż, jak?

Spojrzałem nań i rzekłem:

— Zgubionyś pan, panie Mokiejew!...

— Ja? Nie! Zguba moja — śmierć moja! Ale ja się śmierci nie boję — co tam!

Podniósł głowę do góry, prawą nogę wysunął naprzód, lewą ręką wziął się pod bok, a prawą zaczął gestykulować — słowem stanął w pozycyi odpowiedniej i jął deklamować:

— Obawiam się... A wie pan czego?... Aby nie umrzeć na wiosnę... O, wiosno moja! wiosno moja!... Żegnam pana...

I Mokiejew oddalił się.

Czego się obawiał, to go właśnie spotkało: umarł w rok potem i to na wiosnę, kiedy powietrze rozbrzmiewało śpiewem słowików — umarł na apopleksyę.

Przełożył *Z. Pisulewski.*

daniem drugiego jest strzelać. Cała łódź jest starannie osłonięta trzciną i sitowiem. Jeżeli nie brak ptactwa i jeżeli płynie w kupie, wówczas często od jednego strzału ginie więcej niż 100 sztuk. 80 — 120 metrów uważane jest za normalną odległość strzału. Naturalnie tylko mniejsza część kaczek lub kur wodnych pada zabita na miejscu, większość raniona lżej lub ciężej trzepocze się nad wodami. Dużo, bardzo dużo ptaków ginie w ten sposób bezużytecznie. Polowanie ze „spingardą“ jest istną rzezią, która nie może sprawiać uciechy prawdziwemu myśliwemu. Lecz powróćmy do wspomnianego wyżej polowania na kurki wodne.

Późną jesienią na bagnach i lagunach położonych na południe ujścia Pada, zlata się masa ptactwa wodnego, i zatrzymawszy się tam pewien czas odlata znowu dalej na południe. Ponieważ strzelanie ze „spingardy“, z powodu znajdujących się tam gęstych trzcin i sitowia połączone jest z wielkiemi trudnościami, więc kilka razy w roku urządzają polowania z naganką. Terminy polowań są publikowane w odpowiedni sposób i myśliwi, głównie z okolic Wenecyi, Medyolanu i Terrary przybywają na oznaczone miejsce. Nieraz zbiera się więcej niż 100 łodzi z dwoma lub trzema myśliwymi na każdej. Przywódca polowania daje sygnał — i zaczyna się otaczanie ptactwa. Zatoczone koło ścieśnia się coraz więcej, i w końcu zaczyna się „bój“.

Nie zawsze wszakże udaje się otoczyć ptactwo we właściwej porze. Jeżeli wyżej opisany manewr łodzi się nie uda, z większą ilością ptactwa trzeba pożegnać się już na zawsze. Jednym wielce lubianym sposobem polowania w tamtych stronach jest czatowanie w beczce. W bagnach zakopuje się w miejscach dogodnych i obiecujących beczki, które o świcie zajmują myśliwi. Naturalnie myśliwi przybywają na stanowiska i wracają łodzią. Gdy szczęście sprzyja, ma się często sposobność do strzału, i pobyt w beczce opłaca się sowicie. Nie ulega wątpliwości, że wspomniana okolica jest doskonała do polowania. Niestety, rozkosze myśliwskie psuje panująca tam malarya.

Niejeden z czytelników zapewne będzie rad się dowiedzieć, co robią Włosi z taką masą kurek wodnych? Naturalnie, idą one na stół! Kurka wodna uchodzi w tych okolicach za postną potrawę. Włosi bowiem utrzymują i są przekonani, że kurka wodna żyje rybami, więc „mięso“ jej nie jest zwierzyną, lecz mięsem rybiem — tak jak szczupaka. Znawcy dowodzą, że kurki wodne byle tylko odpowiednio przyrządzone, są wcale smaczne i w smaku nie wiele ustępują dzikim kaczkom. Naturalnie, nie należy ich piec, gdyż kurka wodna podana w ten sposób, tak jak i dzikie kaczki ma zawsze coś w smaku, co przypomina tran. Kurka wodna powinna być obdzierana ze skóry, nie zaś oskubywana, zresztą oskubywanie kurki wodnej, kosztowałoby zbyt wiele trudu. Oderwawszy ją ze skóry, należy ją poćwiartować i następnie przyrządzić na wzór potrawki zajęczej. Jeżeli do tej, w ten sposób przyrządzonej potrawki wrzucimy jeszcze kilka pokrajanych na plasterki trufli, otrzymamy potrawę, którą można podać nawet na wykwintnym obiedzie. Za kurkę wodną płacą we Włoszech po lirze, czyli, mniej więcej, 40 kopiejek. Radzimy każdemu z naszych czytelników, przy sposobności, skosztować tej opisanej wyżej potrawy.

„ŁOWIEC“.

Polowanie z psami w nocy.

Niewielu zapewne myśliwych próbowało polować na dziki z psami w nocy. Ja niejednokrotnie próbowałem tego, zniecierpliwiony, że dziki leżały stale za granicą, a przychodziły co nocy na żerowisko w wysokie, bukowe lasy u mnie. Wybierałem prawie wyłącznie noce jasne, księżycowe, chociaż w osobliwszych warunkach działo się to i w ciemne. Nieraz też, gdy chodziłem nocą na borsuka, którego moje dzikarze zawsze dobrze brały, spotykałem się przypadkowo z dzikami. Otóż ciekawsze epizody i rezultaty takich polowań opiszę obecnie.

I.

W pogodną, widną, księżycową noc, około połowy października, wyszedłem z domu, z psami, na borsuka, mniej więcej o północy. Cisza właściwa naszej „głuchej“ jesieni i jasny blask pełni księżyca usposobiały nastrojowo i kto zaznał osobliwszych wrażeń myśliwego w podobnych wypadkach, temu polowanie takie zapisuje się wśród miłych wspomnień głoskami niezatartemi w pamięci. Wydaje się wówczas, że szkoda zrobić krok każdy, bo powoduje on szmer, psujący tę harmonię ciszy, a poczyna się czuć człowiek jakby zbędnym tu zupełnie intruzem, który zuchwale się wdziera w tajniki natury, drzemiącej w zgodnem milczeniu w rozsypanem srebrze księżyca... Dogodniejszej też do strzału nocy nie można sobie wyobrazić. Posuwałem się zwolna drożyną dzielącą stary drzewostan bukowy od zapustu i znajdowałem się właśnie na polance malutkiej, koło której drobna i rzadka jakaś karłowata podróśl, tworzyła na kraju zapustu pliszę, zakulturowaną drobną dębiną, kiedy na kraju tejże pliszy wciskającej się kroków kilkanaście w zapust, zaatakowały nagle razem wszystkie moje pieski.

W momencie przyklęknąłem i kiedy natychmiast chciałem rozróżnić, czy to borsuka tak zajadle psy wzięły, usłyszałem rzucanie się silne i łomot w gęstwinie oraz fuknięcie dzika. Nie była to pora ruszać się teraz z miejsca, bo mię nic nie zasłaniało w mych ruchach przed dzikiem, pozostałem więc w tej pozycyi klęczącej z gotową bronią. — Atakowanie było śliczne, ta jednolita akcya psów dobrze się znających na tem, o co tu chodzi, a echo jej szeroko rozbrzmiewało wśród tajemnej ciszy uroczej nocy. Od czasu do czasu śmielsze natarcie którego z dzikarzy powodowało łomot w gęstwinie, gdy dzik się za nim rzucał... no, ale nie mogłem się wiele zachwycać muzyką piesków, bo uwaga moja naprężona była nadarzyć się mogącą chwilą sposobną do strzału; każdy też ruch dzika w gąszczy łowiłem uważnie uchem i czekałem z kolbą przy twarzy.

Podsuwanie się pod dzika atakowanego w nocy w gęstwinie, a nawet drągowinie, jest wogóle bezcelowem. Z natury rzeczy musi się tylko nadbiegać drogami, liniami i przychodzi się do strzału na nich, ewentualnie na świeżych, niziutkich jeszcze zrębach, lub, co już gorsze, w wysokim lesie. Tej taktyki się trzymając, pozostałem na miejscu dość długo, aż wreszcie dzik, zniecierpliwiony uprzykrzoną natarczywością psów, począł się energiczniej odcinać i w pościgu wyskoczył z gąszczy za jednym z nich, który wprost ku mnie umykając, zawziętego odyńca pędzącego w susach zapamiętale za nim, sprowadził nie dalej, jak na 5 kroków przedemnie. Dzik zobaczywszy mię, w tej chwili zrobił błyskawiczny zwrot wstecz i począł umykać we wprost przeciwnym kierunku. W tym momencie strzeliłem w tył, a odyniec zaryczał formalnie jak wół i przysiadł na tyle. Za chwilę posłałem mu z blizka kulę za ucho. Był to odyniec ważący 280 kg., a osobliwszem było to, że był skastrowany — widocznie przez jakiegoś rywala w czasie lochania — a tak tłusty, że słonina na grzbiecie grubą była 4 cm., mięso też z niego było nader smaczne.

II.

Codziennie na śniegu uważałem, że stadko warchlaków, złożone z 7 sztuk, stale co nocy przychodziło żerować u mnie wśród nasienników bukowych, a na dzień wynosiło się znów za granicę. Czekałem dni kilka, nim księżyc jako tako świecić będzie, i wybrałem się na nie, około 11-ej w nocy z psami. Było trochę mglisto. Zaledwie doszedłem do miejsc, którędy zwykle dziki te przechodziły, psy wpadły na trop świeży, pognały szybko w nasienniki i za chwil parę usłyszałem już atakowanie na miejscu. Wspomnę tutaj, że dziki nieco odmiennie zachowują się przy psach w nocy — co zapewne i inni myśliwi, którzy próbowali tego rodzaju polowania, zauważyć musieli — mianowicie są one na ogół biorąc, daleko śmielsze

i mniej się psów lękają, a nigdy prawie nie uciekają zaraz, nawet, gdyby te się do nich na ostro zabierały. Z drugiej znów strony trzeba wziąć pod uwagę, że psy w nocy nie są tak śmiałe jak w dzień, i to choćby nawet na miejscach jasnych i otwartych. — Podsuwanie się do dzików w tych warunkach nie było łatwe, bo zbliżać się musiałem z pagórka do nich, a tylko ta okoliczność była dla mnie korzystną, że byłem pewien, iż nie ruszą one z miejsca tak rychło. Kryjąc się, o ile możności, jaknajostrożniej za buki, zdołałem zbliżyć się ostatecznie na jakie 35 kroków ,lecz tylko czarną masę widziałem i w żaden sposób odróżnić pojedyńczych sztuk nie mogłem.

Na dobitek złego„ księżyc — już nie wiem, czy w rzeczywistości, czy może tylko w mej wyobraźni, — jakby za chmury mgliste się schował, tak iż już tylko „na skład" strzelićbym był w stanie. Chwileczkę nawet się wahałem, czy wobec tego, że źle widać, i że to warchlaki, nie strzelić grubym śrótem, który miałem w lewce, lecz przeważyła tu obawa o psy i złożywszy się więcej ku górze, spuściłem strzelbę powoli, mierząc w czarną masę — powtórzyłem ten manewr dwa razy, a za trzecim razem strzeliłem kulą. Dziki rozprysły się w jednej chwili na wszystkie strony. Czekałem, czy się nie ozwie który pies na miejscu lub czy nie zatrzyma którego z warchlaków może postrzelonego lub nawet zdrowego, ale nadarmo. Psy z dzikami poszły jak wicher, przez parów i górę następną i wnet ucichły ich głosy w dali. Niedługo przyszedł do mnie furman, którego zostawiłem na miejscu, skąd psy ruszyły początkowo tropem dzików. Zły byłem i niezadowolony z siebie — kazałem mu też natychmiast trąbić na psy. W jakie pół godziny zjawił się jeden z nich, lecz gdy przybiegł w miejsce, w którem się znajdowały dziki w chwili mego strzału, skręcił się nagle i w szalonem tempie popędził dalej w nasienniki popod pagórek, a za chwilę szczeknął raz i znów cicho. Dziwiłem się, ale nie przywiązując do tego wagi, czekałem jeszcze chwilę, aż przybiegł mój najlepszy tropowiec. Ten jednakże zachował się tak samo jak pierwszy pies, i znów usłyszałem jego szczeknięcie w tem samem miejscu, co poprzedniego, poczem daleciało mię stłumione warczenie.

Zrozumiałem, że to psy targają zabitego już dzika. Humor w tej chwili był inny i spiesznie poszedłem w tym kierunku, a gdy się przy psach znalazłem, oczom własnym wierzyć nie chciałem. Oto pod bukiem leżał nie warchlak, nie przelatek, ani wycinek, ale odyniec—kolos! W duchu też dziękowałem św. Hubertowi, że natchnął mię myślą strzelenia kulą, która też przez komorę na wylot przeszła. Był to jeden z największych, a może i największy odyniec, jakiego w ostatnich dziesięciu latach zabiłem i wogóle widziałem. Szkoda, co prawda, że nie w dzień się to działo, bo strzał do takiego zwierza miałby wówczas niezrównanie większy urok, lecz trudno, nie sądziłem, aby właśnie tej nocy przyszły na żerowisko tam świeże dziki, podczas gdy dotąd nie przychodziły inne prócz siedmiu warchlaków. — Obserwowałem na tropach zabitego kolosa, jak on ciekawie się zachowywał przed śmiercią: oto począł kręcić się naokoło buka, pod którym potem padł, trąc się oń bokiem, a przytem tnąc go szablami i robiąc silne znaki, jakgdyby toporkiem. Odyniec ten ważył 310 kg.

III.

Zmrok już zapadał, kiedy po ubiciu wycinka przed wieczorem wracałem do domu. Byłem już niedaleko pomieszkania, gdy wtem psy w gęstwinie gwałtownie zaatakowały na miejscu. Chwilę trwał łomot, poczem zmienił się w szybki pościg ku linii, na której z gotową strzelbą przyklękłem. Tupot zbliżał się prędko — widocznie dzik widział, że niema żartów i wyrywał co siła. Ujadanie jakby gorączkowe, psów dopadających tuż tuż zbiega, towarzyszyło mu o parę ledwie kroków; rozżarte na ubitym niedawno wycinku nie dawały widocznie pardonu... W chwilę wypada dziczura na linię, nie dalej jak 25 kroków odemnie—pada strzał i kładzie go na miejscu. Zadowolony z pięknego strzału pomimo silnego już zmroku, zbliżyłem się doń szarpanego ze wszech stron przez psy, lecz cóż za przemienienie: oto nagle widzę, że zabity dzik nie jest dzikiem lecz zwykłym, pospolitym, czarnym baranem! No, trudno, o zmroku i to zdarzyć się może, a nadmienić mogę ponadto, że nawet nikt się nie upominał, ani nawet nie szukał za nim i do dziś dnia nie wiem, czyim był. Co prawda, to i ja z niego pożytku najmniejszego nie miałem, bo psy w chwil kilka nim zdołałem je odpędzić, potrańżerowały go i każdy z kawałkiem zdobyczy tylko trzeszczał kośćmi, gryzionemi w krzakach.

(D. n.).

Zaginione zwierzęta olbrzymy.

Niedawno nastąpiło wykrycie nowego przedpotopowego olbrzyma. Uczeni dali mu *triceratops* na imię. Odgrzebano jego czaszkę jedynie: na dwa metry długości. Przyrodnik amerykański, Marsh, odmodelował wnętrze tej czaszki olbrzymiej, dzięki czemu zapoznał się dokładnie z nieistniejącym już mózgiem. Był on malutkim, w porównaniu z rozmiarami cielska, nie miał oddzielnego móżdżku i półkuli mózgowych; tworzył jakby jedną masę ze szpikiem pacierzowym i służył jedynie dla kierowania organami ruchu.

Triceratops zdumiewa nietylko swym ogromem, ale i tem, że nie był ssakiem, jak największe zwierzęta obecnej doby, lecz płazem; nie pokrywała go szerść, lecz — łuska. I jako płaz, nie był zgoła podobny do dzisiejszych: nie pełzał — chodził na czterech łapach, jak nasze ssaki trawożerne. Stąpał na palcach, że zaś palce tylne były za krótkie, aby dotykać ziemi, i tem samem bezcelowe, z biegiem czasu zanikły, jak u tapirów i nosorożców.

Triceratops musiał być szybkobiegiem, na przeciwnika nacierał głową olbrzymią, uzbrojoną w rogi: bardzo szeroka z tyłu, wydłużała się z przodu jakby w dziób spiczasty, zakończony jednym rogiem tuż nad oczami, miał jeszcze dwa na głowie.

Jego czaszka wydłużała się i rozszerzała ku tyłowi w ogromną kościstą tarczę, niższa powierzchnia tej tarczy, od której szły drobne kości, służyła zapewne do osłaniania muskułów, przeznaczonych do dźwigania i poruszania głową.

Triceratops, jak współczesny nam nosorożec, wpadał na przeciwnika głową naprzód, potem stawał na tylne łapy i rzucał się nań całym ciężarem. Jego zęby i szczęki świadczą, że był trawożernym.

Ojczyzną tego olbrzyma były strefy, zajmowane dziś przez Góry Skaliste, ale w czasach istnienia triceratopsów, konfiguracja lądów była inna zgoła. Na północy rozpościerały się dwa kontynenty: północno-atlantycki i syberyjski, oddzielony jeden od drugiego wązką cieśniną morską, biegnącą od północy ku południowi, a stanowiącą jakby szkic oceanu Atlantyckiego. Pierwszy z tych kontynentów zawierał Grenlandyę, wyspy arktyczne, przyległe do Ameryki, oraz dwie trzecie wschodniej części Kanady i Stanów Zjednoczonych; kończył się u stóp Gór Skalistych. Drugi kontynent mieścił się na przestrzeni obecnej Skandynawii, północnej Rosyi, Chin i Syberyi. Reszta naszej ziemi była rodzajem archipelagu, w którym Ameryka środkowa z Antylami, Brazylia, Afryka, część Indyj, Australia tworzyły każda oddzielny kontynent; kilka wysepek wśród wielkiego morza reprezentowało obecną Europę.

W owym okresie dziejów świata, zwierzostan Ameryki północnej był jednocześnie cudacznym i olbrzymim; szczątki jego przechowały się do naszych czasów, poczęści dlatego, że owe potwory zagrzebywały się we wnętrzu pieczar.

A triceratops nie był największym.

W Górach Skalistych jeszcze przed nim żył atlantosaur, największe zwierzę ziemskie: długości czterdziestu metrów, stegosaur, na którego grzbiecie sterczał grzebień, utworzony jakby z trójkątnych ości, sterczących w górę, a przedłużających się na ogonie w kształcie grubej szczeciny, jak u jeża. Z tułowia podobny do żółwia, ten potwór miał głowę spłaszczoną, chodził na czterech

łapach, jego część tylna była za wielka w stosunku do przedniej. Szpik pacierzowy rozmiarem swym dziesięciokrotnie przewyższał objętość mózgu. Prawdopodobnie stegosaur i jemu podobne zwierzęta stawały nieraz na tylnych łapach, a przedniemi chwytały pnie drzew, aby je objeść z kory, dlatego na owych łapach zachowały wszystkie pięć palców, wówczas gdy na tylnych, służących jedynie do chodzenia, pozostało im tylko trzy, jak u triceratopsa.

Jakkolwiek już oddzielona morzem od Ameryki i Europa w owym czasie miała płazy potworne, jak np. megalosaury i cetiosaury, ignanadony, dochodzące do 18 metrów długości. Całe ich stado odnaleziono w mokradłach Bernissart, w Belgii. W owej epoce Europa i Ameryka północna tworzyły jeszcze ląd jeden, kontynenty północno-amerykański i syberyjski były złączone i prawdopodobnie jednakie zwierzęta całą tę przestrzeń zaludniały. W tym okresie odległym Ameryka południowa, Afryka i Australia, stanowiły również jeden kontynent, zwany Granwana; powstawały ledwo zarysy Atlantyku.

Uczeni, na podstawie znalezionych szczątków, odtworzyli całość przedpotopowych potworów. Wobec nich największe zwierzęta obecnego świata wydają się drobnemi. Jednak te olbrzymy, dzięki warunkom istnienia, były łagodne. Wnioskować o sprzyjających warunkach ich rozwoju pozwala fakt, że zdołały dojść do swoich rozmiarów, na co potrzeba dużo czasu. Megalosaury, atlantosaury żyły zapewne po lat kilkaset. Stąd wniosek, że nikt ich nie ścigał, nie zabijał.

Paryskie Muzeum przyrodnicze wzbogaci się wkrótce wspaniałym okazem przedhistorycznego mamuta, ofiarowanego przez hr. Aleksandra Stenbock-Fermora, członka petersburskiej Akademii cesarskiej i zawołanego geologa.

Sześć lat temu, pewien podróżny, Wallosowicz — nazwisko w francuskiej ortografii dość podejrzane — podróżując po północnej Syberyi znalazł mamuta na wyspie Lachowie Większym w grupie wysp nowosyberyjskich. Było to w roku 1907. Samojedzi donieśli Wałosowiczowi, iż na wybrzeżu tej wyspy z jakiejś szczeliny wygląda trąba jakiegoś zwierza. Samojedzi i Tunguzi, smakosze z urodzenia, ucięli tę trąbę i zjedli mięsko od przeszło stu tysięcy lat w lodzie zakonserwowane. Kilka kawałków przynieśli swemu przyjacielowi, Wallosowiczowi, ten jednak nie mogąc się doszukać smaku, wyprawił się na oględziny zwierzęcia, które pieczeni dostarczyło. Ujrzawszy, że to mamut przedhistoryczny, kupił go od Samojedów i powrócił do Rosyi.

Następnego roku, porozumiawszy się z hr. Stenbock-Fermorem wrócił z wiosną na wyspę. Odgrzebano mamuta i wyciągnięto z lodu. Mięso było prawie zupełnie zachowane, przeto części miękkie pocięto i wysłano na sankach zaprzężonych w psy do Europy. Tarnsport trwał przez dwa lata. W okolicach cieplejszych psy zastąpiono renami i w ten sposób przebyto przestrzeń 4000 klm. do ujścia Leny. Stamtąd wyprawiono skrzynie wodą do Irkucka, skąd koleją już dostawiono je do majątku hrabiego Stenbock-Fermora.

Hr. Stenbock-Fermor darował mamuta paryskiemu muzeum przyrodniczemu. Zwróciło to jednak uwagę władz, które na przyszłość zakazały surowo eksportu mamutów za granicę.

Uczeni paleontologowie francuscy przystąpili do rekonstrukcyi mamuta, co się im też zupełnie udało. Odpowiednio zakonserwowane wnętrzności i żołądek mamuta zostaną wystawione w witrynach muzealnych. Skóra mamut pokrytą jest jedwabistą, długą sierścią. Prof. Perrier twierdzi, że mięso mamuta ma smak starego kamauberu.

Koszty transportu wynosiły przeszło 300.000 fr.

Niedawno doniesiono dyrektorowi muzeum geologicznego w politechnice lwowskiej, prof. Wiśniowskiemu, że w ciegielni pod Glinianami, w t. zw. Dąbrowie, znaleziono kości mamuta. Prof. Wiśniowski wraz z asystentem dr. Rydzewskim udali się tam i stwierdzili, że na przestrzeni kilkudziesięciu metrów kwadratowych są w tem miejscu nagromadzone w glinie, zwanej lessem, kości kilku mamutów, rozmaitego wieku i wielkości. Udało się wydobyć bardzo dużą część głowy jednego z nich wraz z szczęką dolną, prawie cały kręgosłup z kręgami, pozostający po części jeszcze w związku, kości miednicy, łopatki, kości długie i krótkie kończyn, części dwóch innych czaszek mamutowych i t. d. Bezpośrednio razem z tymi kośćmi znalazły się z gruba łupane wyroby krzemienne człowieka paleolitycznego, spółczesnego z mamutem. Prof. Wiśniowski okazy te w ośmiu pakach przewiózł dla muzeum mineralogii i geologii w politechnice lwowskiej i poczynił na miejscu stosowne kroki, aby upewnić się, że wszystkie kości, jakie znajdą się tam na przyszłość, wraz z wyrobami tamtejszego człowieka dyluwialnego, dostaną się w dalszym ciągu do muzeum szkoły politechnicznej. Ma także zamiar postarać się o subwencyę dla przeprowadzenia w tem miejscu wiosną większych robót poszukiwawczych.

Wkrótce ukaże się — jak donosi lwowska „Gazeta narodowa“ — obszerna monografia o znanych wykopaliskach w Saturni, mianowicie o znalezionym tam mamucie i nosorożcu przedpotopowym. Monografia ta, obejmująca 49 arkuszy druku w dużej czwórce, zawierać będzie prace najwlbitniejszych zoologów. Koszta tej monografii, wydanej staraniem muzeum im. Dzieduszyckich, są olbrzymie. Dość powiedzieć, że sam druk i sporządzenie tablic wyniesie około 20.000 koron, autorowie zaś ofiarowali prace swoje bezpłatnie. Ale bo też okaz nosorożca, znaleziony w Saturni, to egzemplarz jedyny na całym świecie. Sławne muzeum brytyjskie nie posiada nawet kawałka skóry nosorożca, a muzeum lwowskie posiada go obecnie prawie w całości, bo całą głowę z jednem uchem (dotychczas nie wiedziano, jak to ucho wyglądało), lewy bok z lewą nogą i całą skórę. Okaz ten, wypchany, wielkości co najmniej podwójnego wołu, ściąga setki uczonych zagranicznych, a największe muzea światowe zwracają się do zarządu muzeum z prośbą o fotografie i odlewy gipsowe. Niemniej zainteresowania budzi okaz mamuta, przy którym zachowane są dokładnie ścięgna mięsne i prawie cała skóra. Nie dziw, że wykopaliskom tym poświęcono tak kosztowną monografię.

Z dziejów terminologii łowieckiej.

(Dokończenie).

Polowania z drapieżnemi ptakami należą do najdawniejszych; używano u nas orłów, sokołów i różnych ich gatunków, jako białozorów t. j. sokołów bielejących na starość, kobuzów, krogulców, jastrzębi, bądź krajowych, bądź zagranicznych. Gniazdowiec jest ptak z gniazda wzięty; gałęźnik, który dopiero z drzewa na drzewo wylatuje; takie mają bydź najlepsze do polowania. Dobry sokół i w ogóle każdy ptak drapieżny powinien bydź chudy, oczu pełnych ognia, skrzydeł silnych, nóg mocnych i szponów ostrych. Drapieżnym ptakom odbierają dzikość bezsennością, a potem je uczą, co się nazywa unoszeniem. Żywność dla wszystkich tych ptaków świeża bydź powinna, a trzymać je należy w miejscu chłodnem. Iść czarnym szlakiem albo berem, znaczy podchodzić lotną zwierzynę; pod pierzem szczwać, polować z ptakiem drapieżnym.

Uboższym jest język łowiecki co do ptaków, których państwo jaśnieje rozlicznem barw bogactwem, zajmuje tysiącznemi pieśniami, może dlatego, że nie wszystkie nazwy i słowa są znajome; wiele także ptaków nie należy do zwyczajnego polowania. Nazywają jeszcze szczygła kulczykiem; wilgę gwizdą, sójkę babą; kukułkę kukawką; jaskółkę domową, domaszką; rybitwę, rybakiem; dudka, wudwudkiem; bąka hukałem albo hupałem. — Są to nazwy łowieckie-ptasznicze, słyszałem je od ptaszników częścią w Królestwie, częścią w Galicyi. Jak zaś rozmaite jeden ptak miewa nazwy, patrz Zoologię Jarockiego T. 2, str. 116. Jeden i tenże sam ptak różnie w różnych stro-

nach nazywany. (Nietoperze w Sandomierskiem nazywają pięknie wieczorkami).

Słowa łowieckie są bardzo właściwe — żeden inny wyraz nie wyrówna słowu kicać na oddanie powolnego biegu zająca, a zając w największym pędzie czyliż nie kładzie się po sobie? albo któż nie widział na polowaniu, jak zając łamie charty, jak przez swoje różnostronne, szybkie ruchy w istocie zdają się łamać? Głosy niektórych zwierząt, jak żubr jęczy, jeleń beczy, lis skomli, wiewiórka pryska, orzeł szczeka, sęp kłapa, sokół kwili, kuropatwa gdaka, cięgocze, przepiórka bije, gęś gęga, drop ksyka, słomka chrapi, szczeguł piszczy, gołąb bębni, grucha, bruka, żołna skrzeczy, kwiczoł piska, kawka plegoce, skowronek dzwoni, przepieruje, jaskółka piskocze, żuraw struka, sokół kwili, puhacz woła (Mówią także pucha, i to słowo maluje głos jego; pierwsze zaś powstało z mniemania pogańskiego i dotąd trwającego, że puhacz przeczuwając śmierć ludzi, woła tych, którzy umrzeć mają), jak wiernie oddane. Co powszechnie parzeniem się nazywamy, myśliwi zowią u jelenia bekaniem, u niedźwiedzia grzaniem, u głuszca tokowaniem, u jarząbka graniem, u kaczek deptaniem — i naturę żywiej malują. Nie będę się rozwodził nad pięknością każdego słowa; nie ujdzie zapewne baczenia znawców, a przyjaciele ojczystej mowy ujrzą i w jej odnodze, w języku łowieckim, tę cechę wyższości, która stanowi jej starszeństwo między siostrami słowiańskiemi. Pełen życia i poezyi jest nasz język łowiecki, żaden powszechnie używany wyraz nie zdoła zastąpić słów jego, są one w porównaniu z niemi, czem kwiat sztuczny z kwitnącym. Ale cóżby na to rzekli ś. p. niby klasyczni literaci, którzy obsiadłszy trójnogi rzymskie, w naturze tylko geografią, zoologią, botanikę albo mineralogią w mowie ludzkiej tylko gramatykę Kopczyńskiego widzieli; coby rzekli, że w szczególnych słowach języka łowieckiego, polskiego więcej jest poetycznej prawdy, niż we wszystkiej rymowanej prozie Delilla?

Strzelba, świeży albo żywi, kiedy nie odrażu ubija; doluje, góruje, bokuje, rozrzuca albo gęsto bije. Koniec rury jest okiem; częściami strzelby są: kolba, lufa albo rura, cel, łoże, przykład, ujęcie, warkocz, stępel, kapsel, kominek, zamek i t. d. Rozmaite także mają nazwy np. pojedynka, dubeltówka, ptaszniczka, kniejówka, szmigownica, dziwerówka, janczarka, tyrolka, sztuciec i t. d. Sieci jest mnóstwo jako: płot, parkan, na grubego zwierza, rozjazd, włok, trokowka, płotek, pajęczyna, niewód i t. d. I trąbki są różne: charciówka, borówka, kniejówka i t. p. i trąbi się rozmaicie według potrzeby: Jest także kilka słów obcych w używaniu, mogą one bydź ojczystemi zastąpione: apel (przybywaj), czwajnos (dwunosy), formować, kupłować i t. d. Do łowców należą: myśliwi, strzelce, sokolnicy, bobrownicy, ptasznicy. — Nie mieliśmy w zamiarze rozszerzać się nad wszystkiem, co dotycze łowiectwa, i chcących obszerniejszych wiadomości, odsyłamy do dzieł o tym przedmiocie mówiących. Niektóre z dawniejszych są: 1) Myślistwo z ogary Jana Ostroroga. 2. Myślistwo ptasze. 3. Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze.

Rzekniemy nakoniec słów kilka o świecie łowieckim. Kiedy jeszcze pola i lasy bóstwami były ożywione, a rzeki i jeziora oszumiewały pląsaniem i wesołem pluskaniem dziewic, źródeł opiekunek; jakżeż tam życie oddychało wszędzie, jak wszystko silnie przemawiało do duszy człowieka, jakie go wrażenia przenikały, jakie myśli wyrzucał z przepełnionej piersi! Zatarły je czasy późniejsze aż do najdrobniejszych okruchów. — Obszerny jest świat łowiecki, najeżony górami i skały, zaczermony puszczami, rozjaśniony zwierciadłami rzek i stawów, straszny przepaściami, uśmiechający się rozległemi rolami i błoniami, jaśniejący różnowzorowemi barwy, brzmiący tysiącem dźwięków. Tu się puszą na berłach sokoły w karnalach (kapturach), tu psy snują drżące od niepokoju i zapału, tu jak na wojnę idzie wyprawa na odyńca lub niedźwiedzia, owdzie pola migają rozsypanemi jezdzcami i lotnemi charty; w około lasów wstają płoty, słychać muzykę w kniei; myliwy wypręża oko na przesmyku, tam samotny idzie za psem przewodnikiem albo czatuje ukryty w burzany. Jednych blask słońca oblewa, drugim wieczór przychylniejszy, tych zorza, tych światło księżyca prowadzi; inni lubią noc ciemną, albo ją pochodniami rozświecają. Ci w kręte wąwozy wnikają, ci toną w nieprzebyte gęstwy, ci lgną w deszczące moczary, ci posuwają saniami po iskrzącym śniegu. Ale któż zdoła wiernie opisać ten ruch ogólny, tę wrzawę różnojęzyczną, tętęt koni, lot psów, pęd zwierząt, ich obroty, trwogę, wściekłość, bój, grzmoty broni, trąb huki, zapał ludzi i setne uczucia; głosy szczególnie niknące w ogólnym gwarze; a ten gwar powtórzony odgłosem, rozbity o gór ściany, rozsypany po dolinach. Uważać można polowanie jako żyjące poema, musiało ono wpływać na umysł łowców; prędszy krwi bieg, mocniejsze życie, tyle barw i wdzięków, tyle lat przepolowanych znajdowały malarzy w języku poetyckim. Dodajmy do tego niewiasty, które czarodziejskiem okiem rozświecały koła myśliwych, (bo kobiety w one czasy nie drżały na widok rumaka, nie mdlały na wystrzał, ale za to nie rodziły jak dzisiaj chrząszczów, ale lwy), rozmaite przygody i wypadki i świat rycerski spokrewniony z światem łowieckim. Nieraz zapewne na zgromadzeeniach łowców rodziły się pomysły to jak żubry, jak lekkonogie sarny, jak szczebiotliwe ptaki, bo myśl rozogniona wiecznie za tymi przedmiotami goniąca i wiecznie je przed oczyma duszy trzymając, niejako ich odcisk, ich odblask w słowach wydawała i mowę okrywała różnobarwną suknią zwierząt. Z tylu marzeń, z tylu powieści, cóż pozostało? Szczątki obrazów, zamglone wyjątki z opisów, szczególne nazwy, samotne myśli, prawie tylko echo niewyraźne przeszłości. Myśliwi nie stanowili osobnej kasty, wiadomości ojca często nie przchodziły do syna i z nimi umierały. Miejsce bóstw wygnanych zastąpiły w świecie łowieckim duchy i strachy, jakoby cienia zagniewanych bóstw pierwotnych. — Co było niegdy prawdą, stało się zabobonem, a wiara w nie, pozostała tylko u ludu.

Zabobonni myśliwi wierzą w duchów złych i dobrych. Do złych należą: Boruta, któremu dla ułagodzenia naczynia z potrawami stawiają; zły duch albo szatan przybierający na się różne postaci zwierząt i trapiący czasem całe dni strzelców, gdyż ci ustawicznie i strzelają i chybiają; mara, która w postaci mgły albo pary zamydla oczy strzelców; tuman tylko w nawalnej zimie prześladujący myśliwych sprowadzając ich na błędne szlaki. Myśliwy będący w porozumieniu z dobrymi duchami mieć może na strzał co zechce i zawsze ubije; dobre duchy w postaci ptaków, najczęściej wron, kukułek pokazują drogę strzelcom. Wierzą w czary, strzelbę mogą zaczarować samem spojrzeniem złe oczy; takie oczy najpospoliciej mają młynarze, dziady włóczące się z torbami i baby. Strzelba zaczarowana może sama wystrzelić, dlatego na noc w pokoju nie trzeba jej wieszac, dla zabezpieczenia zaś od uroków i czarów wyrzynają na kolbie rozmaite znaki, figurki i krzyże. Spotkawszy złe oczy, należy nabój wystrzelić i strzelbę opluwszy, położyć na ziemi, aby ziemia czary wyciągnęła, ale to skutkuje tylko zaraz po zaczarowaniu. Zakopanie lufy pod próg, którędy się przechodzi, ma czynić strzelbę niezawodną, w roztopiony zaś ołów wrzucają serce nietoperza, aby kule były dobre. Aby strzelba nie żywiła, trzeba wrzucić w nią żywą gadzinę i wystrzelić albo wpuścić kilka kropel krwi z ubitej zwierzyny. Strzelcy niektórzy i gajowi wieszają na płotach i bramach głowy zwierząt, ptaki albo ich skrzydła, strzeże to ich od czarów i sprowadza szczęście. W niedzielę i święta polować nie należy, bo się nieszczęści. Strzelce omijają niektóre ścieżki, pod niektóremi drzewami nie strzelają, niektóre miejsca obchodzą, wróżą z lotu ptaków, z wianków wiszących na obrazach albo figurach nadrożnych, z chodu i twarzy różnych osób, z księżyca, którego odmiany wywierać mają wpływ na węch psów, z gwiazd, z ułożenia chmur i obłoków na niebie i t. p., lecz sąd ich w tej mierze opiera się raczej na indywidualnych wyobrażeniach, niżeli na pewnych, ogólnych prawidłach. Wilkołak albo wiłkołak jest człowiek mogący się przemienić w wilka, wiara w nie jest bardzo starożytna, strzelce wystawiają go sobie jako wilka z głową człowieczą, długą i bro-

datą; istota ta może znowu do dawnej wrócić postaci, jest bardzo mściwa i wielkie szczególniej w owczarniach robi szkody.

Zagłębmy się dalej w świat łowiecki, tu się dowiemy od starych myśliwych: że państwo zwierząt w niedostępnych borach, że w niem dziwnie nam nieznane mieszkają zwierzęta; że niedźwiedź rozumie mowę ludzką i sam czasem przemawia; że wilk pięciu głosami wyje w łapę, że mu co roku po jednej przybywa wątrobie, że na niego głosem wołać nie należy, aby nie ochrypnąć, że jeśli człowiek wilka pierwszy postrzeże, to wilk się zlęknie, jeśli zaś wilk człowieka, to człowiek. Że starego dzika inne trzebią i wtedy samotnikiem nazwany, pustelnicze wiedzie życie. Że sarny z upodobaniem wpatrują się w ludzi, że ich oczy wzbudzają miłość, że postrzelone niektóre zwierzęta, jako jelenie, sarny, wyszukują zioła i niemi się leczą, że w pieleszach znajdywano drogie kamienie i pierścienie; że w gniazdach zwierząt bywały kamyki czarodziejskiej mocy. Tu nam powiedzą, jak bobry domki budują, jak się rządzą, jak ścigane odgryzują sobie strój i rzucają strzelcom, jak kozy olbrzymie robią skoki; jakich przebiegów używają zwierzęta w obronie; jakie bitwy toczą ptaki między sobą a zwierzęty; a dalej o złotach bocianów; ich pielgrzymkach, o ich sądach, o ich przywiązaniu do ojczyzny i rodziców i innych cnotach, dla których nie godzi się zabijać. Tu nam powiedzą, że naczynia z rogów żubra są bardzo zdrowe i w wielu słabościach pomocne; że sadło niedźwiedzia smarując niem czoło, pamięć naprawia; że skrom zajęczy dobry na odciski i odmrożenie członków; że wpatrywanie się w żołnę wzrok naprawia; że strój bobrowy kaszel uśmierza; że rogi jelenie starte i używane do picia piersi wzmacniają; że podkadzanie nosem lisim ratuje w niebezpieczeństwach poronienia (Przekonałem się własnem doświadczeniem, że ten środek bardzo skuteczny powinienby bydź szczególniej po wsiach upowszechniony). Tu nam odkryją tajemnice zwabiania zwierzyny, z prowadzenia tejże aż pod wrota przeczuwania i unikania niebezpieczeństwa. Tu nam wspomną dawnoczesne łowy i przygody łowców i dzielność koni i usługi sokołów miłosne przynoszących upominki; tu usłyszemy o miłości niedźwiedzi ku niewiastom — jak niedźwiedź wykradłszy córkę pewnego szlachcica, chował ją przez trzy lata, dzbanuszki jej wyplatał ze trzciny, wodę ze zdroju nosił, jagody zbierał w gaju, a wieczorami bawił graniem na skrzypcach — i różne inne o podobnych miłostkach powieści. Jak zaślepionym myśliwym wytępiającym bez miary zwierzynę, objawiały się wielkie, starością omszone jelenie, błagając o zachowanie mieszkańców leśnych, i rycerze wstrzymywali krwawe zapędy, — przedkowie nasi mieli serce równie poczciwe, jak bitne ramię. Jak się polującym ukazywały zwierzęta z krzyżem między rogami i innymi cudownymi znakami. Według podania, kościół na górze Świętokrzyskiej winien swój początek podobnemu zdarzeniu. Mówią, że gdzieś w górach mieszkają najdoskonalsi strzelcy mający pałac podziemny i w nim zawsze obficie wybornej zwierzyny, a w piwnicach przednie napoje i ogromne skarby. Ci myśliwi od dawnych czasów mieszkać mają w tem podziemiu; nieraz w ich okolicy słychać granie psów, szelest sokołów, trąbki i wystrzały, ale biada ciekawemu, któryby się śmiał zbliżyć ku ich pałacowi. Mają oni kiedyś zejść na dół i pokazać się. A powieści wreszcie o napadach wilków, o trudach i przyjemnościach myśliwskich i t. d., liczne zmyślenia ozłacają ponure, zimowe wieczory i sny rozkoszne nawodzą.

Z przysłów łowieckich, których jest dużo, przytaczam: Człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi, — chartem, jastrzębiem, przyjaźń jednają; skoki przypiekać, znaczy, myślistwa nie znać, albo polować jak król Popiel — kto jedzie na niedźwiedzia, niech sobie łóżko gotuje, a kto na wieprza grób — ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwajcza, dobrzy bywają. Patronem łowów jest święty Hubert, przypada 3 listopada. Po Świętym Bartłomieju, t. j. po 24 sierpnia, rozpoczynają się polowania.

Jak uczą się ptaki śpiewać?

Czy działa w danym razie naturalna predyspozycya, czy też dar śpiewu nabyty jest sztucznie i przyswojony? Ciekawem tem zagadnieniem zajmuje się przyrodnik amerykański, Conradi.

Dla doświadczeń swoich Conradi wybrał wróbla świeżo wyklutego z jajka i położył go do gniazda kanarków, także świeżo wyklutych. Potem przeniesiono klatkę z gniazdem do pokoju, w którym znajdowało się 20 innych kanarków. Takim sposobem młody wróbelek oddzielony był zupełnie od współbraci. Pomimo to jednak pierwszy głos, który wydał, był ćwierknięciem wróbla, a zatem instynkt naturalny przemógł. Stopniowo jednak wróbel zapominał swego „języka ojczystego“ i zaczął śpiewać jak kanarek. Doszedł do tego jednak, jak zaznaczyliśmy powyżej — nie odrazu. Początkowe usiłowania jego nie uwieńczał skutek pomyślny, ale ptak nie zrażał się niepowodzeniem i w końcu nabył takiej wprawy i pewności siebie, że współzawodniczył z kanarkami.

Drugi wróbel, którego usunięto od rodziny i zmuszono do współżycia z kanarkami, liczył w chwili rozpoczęcia już dwa tygodnie życia. Dla ptaka, mającego nauczyć się „języka obcego“, był to wiek dojrzały. Niemniej już po kilku dniach wróbelek zaczął wydawać dźwięki surowe, nieokrzesane, coś w rodzaju barbarzyńskiego śpiewu, przypominającego tylko bardzo niewyraźnie śpiew kanarka, a jednak niebędącego już świegotem wróbla. Śpiewak miał głos kraczący i zawsze za nizki. Czasami usiłował wziąć nutę wyższą, ale usiłowania te kończyły się początkowo niepowodzeniem zabawnem. Z czasem wszakże i on przezwyciężył wszelkie trudności i zaczął trylować, jak prawdziwy kanarek.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym oba wróble nie miały już nic więcej do nauczenia się w szkole kanarków, wpuszczono je więc z powrotem do towarzystwa wróbli. I oto zapomniały wszystkiego, czego nauczyły się wśród kanarków. Po upływie sześciu tygodni świergotały już tak po wróblemu, jak gdyby nigdy nie opuszczały towarzystwa współbraci.

Być może, że badacz amerykański uczyniłby lepiej, gdyby wybrał był dla doświadczeń nie kanarki lecz inne ptaki. Od dwu stuleci bowiem trwająca z pokolenia na pokolenie niewola, uczyniła z kanarka „ptaka sztucznego“, który pod wpływem klatki zmienił barwę upierzenia i śpiewa inaczej, niż kanarki w stanie dzikim. Byłoby więc zapewnie lepiej, gdyby wróble, użyte do doświadczeń, umieszczono wśród szczygłów lub innych „ptaków naturalnych“.

Bądź co bądź, z doświadczeń Conradiego wypływają wnioski ważne, a przedewszystkiem, że ptaki nie śpiewają same przez się, lecz, że muszą uczyć się śpiewu. Na jedno więc z najciemniejszych zagadnień psychologii ptasiej pada z tych doświadczeń nowe światło.

Walka z kłusownictwem.

Przed paru tygodniami przywieziono ze wsi Sobień do jednego ze szpitali warszawskich włościanina Ratyńskiego z zestrzelanemi nogami. Pisma jednogłośnie doniosły, że wyszedł on na polowanie, zabił zająca, w polu spotkali go strzelcy i postrzelili.

Tymczasem rzecz się miała zupełnie inaczej.

W dobrach Osieckich, w których polowanie dzierżawi Warszawski Oddział Cesarskiego Tow. praw. myślistwa, od 1905 r., kłusownitwo tak się rozwinęło, że wszelkie nakłady na zwierzostany idą na marne wobec bezczelności złodziei zwierzyny. Straż myśliwska nie może sobie dać rady z szerzącem się kłusownictwem, przeto Oddział od lat paru dodał jej do pomocy konnego strażnika ziemskiego, którego zadaniem jest jedynie ściganie kłusowników.

W d. 15 listopada miało się odbyć pierwsze tegoroczne polowanie zbiorowe Członków, przeto na parę dni przedtem strzelcy przygotowywali stanowiska w polu i w lesie. W polu podjechał do nich strażnik; strzelcy wysłali go w kierunku Sobień na objazd. Nie daleko ujechawszy, posłyszał on strzał, a poskoczywszy w tę stronę, spostrzegł dwóch ludzi, z których jeden był z bronią, a drugi miał zająca. Gdy ich wezwał, aby oddali broń i zwierzynę, zabitą nieprawnie, kłusownicy przyjęli

to wezwanie śmiechem, twierdząc, że jest ich dwóch, a strażnik sam jeden, przeto go się nie obawiają. Strażnik zsiadł z konia i chciał siłą odebrać broń kłusownikowi, gdy jednak obydwaj przeciwnicy natarli na niego, dobył szabli i ciął uzbrojonego Ratyńskiego przez rękę raz i drugi; napastnicy powalili go na ziemię i Ciborek leżąc na strażniku, tłukł go po głowie jakimś przedmiotem twardym, Ratyński zaś stał nad walczącymi z wymierzoną do strażnika bronią.

Strzelcy słysząc strzał, a następnie widząc zdala bójkę, pobiegli na pomoc strażnikowi; jeden z nich chyższy, wyprzedził resztę i nadbiegł na miejsce walki, co widząc Ratyński, zwrócił broń ku nadbiegającemu. Czasu do namysłu nie było. Strzelec, któremu szło o własne życie, widząc dwóch ludzi mordujących człowieka i mając przed sobą wymierzoną lufę strzelby kłusownika, dał ognia do Ratyńskiego i zwalił go z nóg. Wówczas odebrał mu broń i podbiegł ratować strażnika, który pod ciosami Ciborka, zalany krwią, tracił już przytomność. Ściągnął więc leżącego na strażniku zbója i przytrzymał, dopóki nie nadbiegli pozostali strzelcy.

Wszystko to działo się błyskawicznie. Strzelcy skonstatowali osobistości złodziei zwierzyny i zajęli się ratowaniem omdlewającego strażnika. Tymczasem ranny Ratyński podniósł się i obaj kłusownicy zbiegli. Na drugi dzień krewniacy odwieźli Ratyńskiego do szpitala w Warszawie, gdzie naturalnie udawał niewiniątko i nieszczęśliwą ofiarę samowoli straży myśliwskiej.

Strażnik złożył swej władzy raport o całem zajściu i winni kłusownictwa oraz poranienia strażnika pociągnięci zostaną do odpowiedzialności karnej.

Kronika myśliwska.

Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W rewirach leśnych dóbr Niemienice pp. Franciszkostwa Kotkowskich. dn. 8 października r. b. odbyło się doroczne polowanie w 12 strzelb. Zabito: 246 zajęcy, 3 kozły, 6 kuropatw i 2 kaczki. Królował p. Seweryn Kotkowski, mający na rozkładzie 32 sztuki. Teren do niedawna wyniszczony, wykazał dzięki amatorstwu i wielkim staraniom gospodarza pod względem żywienia, opieki i hodowli, znakomite wyniki.

W Ostrowczanach, w gub. podolskiej u p. Dominika Starzeńskiego było wyznaczone polowanie na d. 26 października (st. st.), a że tam od czterech tygodni nie było deszczu, więc spodziewano się pięknej pogody, tymczasem w wigilię polowania już po południu, zaczął padać deszcz i goście, którzy przyjeżdżali z dalszych okolic, zmoknięci byli akuratnie. Nazajputrz deszcz zwiększał się przy silnej burzy, tak, że polowanie odłożono do następnego dnia, w którem to dniu pogoda była pochmurna i około południa kropił rzęsisty deszcz, co trochę przeszkodziło w strzelaniu. Wzięto 8 miotów i zabito w 12 strzelb: 15 bażantów, 70 zający; z drapieżników: 1 wiewiórkę i 3 sowy. Kozły, chociaż były w kniei, na strzał nie wyszły i ocalały tym razem. Strzałów było z górą 250.

D. 4-go z. m. odbyło się polowanie w dobrach Ostrzyce, w gub. lubelskiej, u p. Ludwika Thonnesa. W 16 strzelb zabito: dwa dziki, kozła, lisa, 110 zajęcy, 6 słonek, 5 kuropatw i jastrzębia. Dziki mieli na pokocie pp. Jan Maurycy Temler i gospodarz.

W Olesznie p. S. Niemojewskiego odbyło się w d. 4 i 5 z. m. polowanie w 18 strzelb. Królem polowania został J. hr. Skarbek ,który miał na rozkładzie 48 sztuk zwierzyny. Ogółem zabito 640 zajęcy, 2 dziki, 8 rogaczy, 30 bażantów i 3 lisy. Na zakończenie w Podzamczu dnia następnego polowano z chartami.

D. 4 i 5 z. m. w majątku Kroczewo p. Józefa Czarnowskiego odbyło się polowanie, na którem w dziesięć strzelb zabito: 535 zajęcy, 29 kuropatw, 6 bażantów i jednego rogacza; razem sztuk 571. Królem polowania był p. Stokowski z Soboty, który na rozkładzie miał 98 sztuk.

W lasach Włodawskich dóbr Różanka, w gub. siedleckiej, należących do Augusta hr. Zamoyskiego w dd. 5 i 6 listopada polowano w 9 strzelb w rewirach Adamki i Weryki. Przy pogodzie pochmurnej, wiatr był południowo-wschodni. Ubito: 14 dzików, 17 rogaczy, 164 zajęcy, 6 cietrzewi, 9 kuropatw, 5 słonek, 1 lisa i 5 różnych, razem 221 sztuk.

W dniach 11, 12 i 13 listopada odbyło się w majątku Chroberz gub. kielecka u margrabiego Wielopolskiego polowanie w 4 strzelby. Zabito 1112 zajęcy, 15 kuropatw, 1 kozła, 21 bażantów, 1 lisa, 1 królika oraz 6 różnych. Razem sztuk 1158.

W dd. 17 i 18 listopada r. b. odbyło się u p. Stanisława Godlewskiego w Luszynie (pow. gostyński), polowanie na bażanty, na którem w 12 strzelb zabito: 503 bażanty (w tem 324 koguty), 45 królików, 2 kuropatwy i 2 różne. W pierwszym dniu polowania w rewirach, położonych przy bażantarni, strzelano wyłącznie koguty, a w dniu następnym, w odleglejszych rewirach koguty i kury. Najwięcej sztuk na rozkładzie mieli p. Artur Borzewski z Długiego — 74 sztuki i p. Henryk Krzymuski z Falborza — 69 sztuk. Zaznaczyć należy, że z powodu ogromnych opadów na wiosnę i w lecie r. b. wiele jaj zostało oziębionych i młodych bażantów zatopionych.

Na polowaniu u Benedykta hr. Tyszkiewicza w Czerwonym Dworze pod Kownem z dziewięciu strzelb myśliwych: Wł. hr. Zamoyskiego, Korola i Konstantego ks. Radziwiłłów, A. ks. Lubomirskiego, Włodz. ks. Czetwertyńskiego, margr. Wielopolskiego, A. hr. Ilinskiego-Kaszowskiego, barona Rotha i brata gospodarza Edwarda hr. Tyszkiewicza, zabito: 1005 bażantów, 645 zajęcy, 25 jarząbków, 66 kuropatw, 1 rogacza i 22 różnych, ogółem 1764 sztuki. Królem tak wspaniałego polowania okazał się Wład. hr. Zamoyski.

Na pięknym, myśliwskim terenie Sowia-Góra pp. Sewerynostwa Kotkowskich odbyło się doroczne polowanie, na którem padło: 97 zajęcy, 2 szkodniki, 3 kozły, 21 bażantów, 31 kuropatw, 6 cietrzewi i 4 słonki. Królem polowania był p. Jakubowski z Farkowa, mając na rozkładzie 14 ptaków, 2 szkodniki i 4 zające. Drugim był p. K. Wodzyński. Polowano w 12 strzelb.

Na odbytem w tych dniach polowaniu u hr. Edwardów Platerów w Osuchowie, ubito przy fatalnej pogodzie 324 zające i 41 kuropatw, razem sztuk 365. Królem polowania był Zygmunt hr. Plater z Białaczewa, który miał na rozkładzie 63 sztuki.

Wykazy myśliwskie.

W czasie od 1-go lipca 1912 r. do 1-go lipca 1913 r. w dobrach Luszyńskich zabito: zwierzyny użytecznej: 2 kozły, 1163 zające, 46 królików, 228 kogutów bażancich, 441 kuropatw, 1 chruściela i 1 kwiczoła, ogółem 1882 szt.; zwierzyny drapieżnej: 14 lisów, 4 borsuki, 29 kun, 14 tchórzy, 36 łasic, 1 gronostaj, 95 psów, 137 kotów, 345 wiewiórek, 27 jeży, 72 jastrzębie, 87 srok, 7 bocianów, 2 sowy i 934 wrony, razem 1804 sztuki. Ogółem zabito zwierzyny użytkowej i drapieżnej 3686 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Prawo o polowaniu. Komisya Dumy państwowej, rozważająca projekt prawa o polowaniu, rozpoczęła drugie czytanie tego projektu i uchwaliła, że cenzus ziemski, dający prawo polowania, ma wynosić 75 dziesięcin.

Badanie zwierzostanu w państwie. Zarząd główny rolnictwa obmyślając szereg środków ku ochronie w państwie zwierzyny i polepszenia zwierzostanu, zanim opra-

cuje odnośne wnioski, uchwalił zbadać stan myślistwa i zwierzostanu w kilku miejscowościach państwa. Program tych badań nakreślono w porządku następującym: Zbadanie gospodarstw myśliwskich w Królestwie Polskiem, zwłaszcza w gub. Kieleckiej i Radomskiej; zbadanie fauny myśliwskiej w gub. Petersburskiej i Nowgorodzkiej i zapoznanie się z organizacyą gospodarstwa myśliwskiego. Wyniki tych badań będą ogłoszone drukiem.

Przewóz broni palnej. Dotychczas broń palna i przybory do niej oglądane i clone były na komorach granicznych. Obecnie departament celny, po porozumieniu się z generał-gubernatorem pozwolił na tranzytowy przewóz broni i przyborów, na komorę warszawską z tem jednakże zastrzeżeniem, ażeby odbiorcy składali odpowiednie wadyum, gwarantujące zwrot kosztów przewozu od i do granicy, w razie, jeżeli z jakichkolwiek przyczyn, przesłana z zagranicy broń, przez komorę przepuszczoną, lub też przez odbiorcę wykupioną nie będzie.

W sezonie polowań. Dotąd ubitą na polowaniach zwierzynę sprzedawano przeważnie handlarzom—żydom, którzy wyprawiali ją na znaczniejsze rynki i tam sprzedawali na targach. Obecnie, do tego handlu zabierać się poczęli chrześcianie. Po wielkiem polowaniu w Chrobrzu, majątku margr. Wielopolskiego pod Pińczowem, partyę z 800 sztuk zajęcy zakupił kupiec z Dąbrowy Górniczej, p. Lisowski, płacąc po 85 kop. za sztukę. Ponieważ oprócz mięsa cenione są obecnie także skórki zajęcze, p. L. zrobił więc wcale niezły interes. Pożądane byłoby, ażeby w innych okolicach kraju znalazł naśladowców.

Psy policyjne. W oddziale psów policyjnych, mieszczącym się przy VII-ym cyrkule na ulicy Chłodnej, znajduje się 8 psów, z których połowę wytresował na miejscu znany treser, p. Przygoda. Z tych psów odznaczyły się już trzy: „Lora“, „Lolka“ i „Lena“, które już niejednokrotnie przyczyniły się do ujęcia niebezpiecznych zbrodniarzy, wykrycia znacznej kradzieży i t. p.

Wypadki z bronią. W miasteczku Grabowcu (gub. lubelska) 18-letni Paweł Sodak, chcąc schować dubeltówkę nabitą, siłą pchał ją w snopek słomy. Rozległ się wystrzał i nabój ugodził chłopca w czoło. Śmierć nastąpiła momentalnie.

Do szpitala Przemienienia Pańskiego przywieziono ze wsi Stara-Wieś w pow. węgrowskim, 15-letniego Bolesława Nowackiego z raną oka i palca u ręki. Jak się okazało. N. zrobił z klucza pistolet i chcąc wypróbować go, nasypał prochu, a następnie podpalił zapałką, przyczem nastąpuiła eksplozya.

We wsi Rzepki, w pow. sokołowskim, Franciszek Krasnodębski, strzelając na „wiwat“ przy wyprowadzaniu państwa młodych z domu, postrzelił w plecy Kazimierza Wiercińskiego. Ranionego odwieziono do szpitala.

W parku Natolińskim (gm. Wilanów), 67-letni Julian Tomaszewski, siedząc na pniu drzewa z dubeltówką, mierzył do szybującego ponad parkiem jastrzębia. Niespodzianie zbliżył się ku Tom. 20-letni Tomasz Bohusz i usiłował wyrwać mu broń; podczas szamotania się padł strzał, przyczem nabój ugodził w brzuch Bohusza. Po upływie pół godziny Boh. zmarł.

Dnia 10 z. m. we wsi Karlin za Zawierciem, służący gospodarza Franciszka Kopcia przez nieostrożność postrzelił 10-letniego syna jego. Kula przeszyła nieszczęśliwemu nogę. Chłopak na drugi dzień wyzionął ducha.

Handel futrami. Rynek futrzany za granicą przeżywa obecnie poważne trudności, wskazuje na to między innymi cały szereg upadłości w Niemczech. Na początku roku były już widoczne trudności płatnicze, sądzono jednak, że to zjawisko ma charakter przypadkowy i nie ma bliższego związku z położeniem spraw na rynku futrzanym. Trudności jednakże zaczęły się powiększać. Dziś już zupełnie jawnie mówią o upadłości firmy Meyer, Pertschuk i Syn w Lipsku i Londynie. Pasywa sięgają 3/4 do miliona marek. Dalej idą Peretz, Tartschis w Lipsku z pasywami na kilkaset tysięcy mk. i firmą Bracia Asuszkiewicz, Wieruszke i S-wie w Lipsku. Na ogólne usposobienie rynku epidemia upadłości wpływa tem niemniej, że warunki pogody w październiku i listopadzie nie sprzyjały ożywieniu popytu. Hurtownicy Anglii, Ameryki, Niemiec i inni zachowują się bardzo wstrzemięźliwie, wyczekując zniżki poziomu cen, a tem samem pomyślniejszego momentu kupna. Ostatnimi czasy w Lipsku ujawniał się słaby popyt tylko ze strony kupców rosyjskich i francuskich na lisy wirginijskie i skunksy, dalej pewien interes ujawniają nieliczni, nabywcy na gronostaje, których podaż jest skromna, poszukiwano też królików, których zapasy wyczerpały się zupełnie. Dobrym względnie popytem cieszą się lisy farbowane, zwłaszcza tańsze ich gatunki. Lisy niebieskie utrzymują ceny dobre. Wiewiórka spokojnie, nurki i kuny słabo. Na naszym rynku futrzanym również interesy idą bardzo słabo, a ponieważ sezon ubiegły należał do bardzo niepomyślnych, przeto los kupców futrzanych wcale nie jest do pozazdroszczenia.

Trofea wyprawy. Znany podróżnik i myśliwy angielski, sir Archibald Fowley, powrócił świeżo ze swej wyprawy łowieckiej do Ameryki. Wśród wszystkich przywiezionych trofeów, które ozdobią jego cenne zbiory, sir Fowley najbardziej rad jest z dwu okazów, niezmiernie rzadkich. Są to młody lew i puma, które z wielkim wysiłkiem udało si ędzielnemu myśliwemu schwytać żywcem. becnie okazy te przybyły do Londynu; podróż odbył ypomyślnie, są bardzo łaskawe i, jak dotychczas, niczem nie wyrażają niezadowolenia ze swego nowego miejsca pobytu.

Treść Nr. 23 „Łowca Polskiego“.

Polowanie w Rumunji. — Z badań nad słonkami. — O wędrówkach ptaków (dok.). — Polowanie na ptactwo wodne we Włoszech. — Polowanie z psami w nocy. — Zaginione zwierzęta olbrzymy. — Z dziejów terminologji łowieckiej (dok.). — Jak uczą się ptaki śpiewać? — Walka z kłusownictwem. — Kronika myśliwska. — Drobiazgi myśliwskie: (Prawo o polowaniu), (Badanie zwierzostanu), (Przewóz broni palnej), (W sezonie polowań) (Psy policyjne), (Wypadki z bronią), (Handel futrami), (Trofea wyprawy).

W felietonie. „Noc w lesie“ (dok.).

Ilustracyja. „Wydra“.

Prenumerata **„Łowca Polskiego“** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Z dniem 1 Lipca **Polskie Biuro Leśne** (Książe Zdzisław Lubomirski i S-ka)

zostało przeniesione na ul. **Żórawią Nr. 40, tel. 90-90.**

KALENDARZ MYŚLIWSKI

ilustrowany na 1914 rok

pod redakcyą „Łowca Polskiego"

jest do nabycia

w Kantorze Redakcyi „Łowca Polskiego": Nowy-Świat 35 (Kancelarya Towarzystwa prawidłowego myślistwa)

w Magazynie „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej" (Królewska 17)

i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy kop. 60.

Z przesyłką pocztową: w oprawie 1 rb. 15 kop. bez oprawy 95 kop.

za zaliczeniem pocztowem o 10 kop. drożej.

Kalendarz Leśny

na rok 1913 (IV Rocznik) opuścił prasę i jest do nabycia w **Polskim Biurze Leśnym (Ks. Z. Lubomirski i S-ka)**, Warszawa, Żórawia № 40, tel. 90-90 i w Księgarniach.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Nowy-Swiat 35).

Nad Nilem Niebieskim

przez

Jana Sztolcmana,

z ilustracyami

Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie.

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „Łowca Polskiego" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Nowy-Świat 35) po **4** rub.

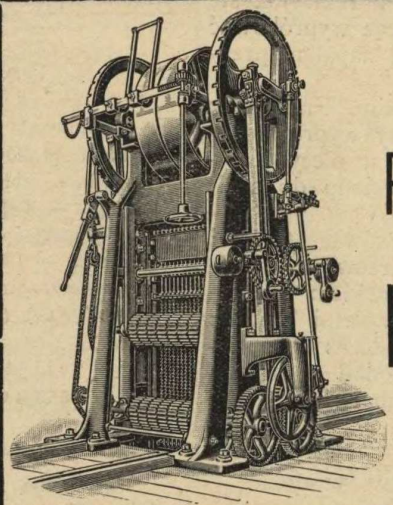

Tartaki, Beczkarnie i Stolarnie

fabryki

F. W. Hofmann w Wrocławiu

polecają

Inż. Karol i Leon Bracia Brzoska

Biuro Techniczne

Warszawa, Widok 21, telef. 12-89.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej". Warszawa, Szpitalna 12.